W numerze: Młodość zakwitająca • Sprawiedliwość bez togi • Jarmark • 24 godziny w Sajgonie • Nad czym pracują pisarze • Hiroszima w miniaturze • Miłość bez wzajemności • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica


# odgłosy

Nr 10 (366)
14. III. 1965
16 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

*Rozmawiamy z prof. dr. Stanisławem Cwynarem*

DZIEKANEM WYDZIAŁU LEKARSKIEGO AM

## O PROBLEMACH ŻYCIA PSYCHICZNEGO

**ODGŁOSY: Panie Profesorze, prasa codzienna doniosła, o skierowaniu do Komisji Sejmowej projektu ustawy w sprawie leczenia chorób psychicznych. Pragnęlibyśmy w związku z tym zapytać Pana, czy decyzja zastąpienia starej ustawy nowymi przepisami oznacza nasilenie się chorób psychicznych? Czy można uznać, że choroby psychiczne powiększyły rejestr chorób umownie zwanych społecznymi?**

**PROF. CWYNAR:** Sądzę, że tak. Liczba zachorowań na choroby psychiczne rośnie, i to znacznie. Wprawdzie część tego wzrostu można przypisać dokładniejszym badaniom, które się obecnie przeprowadza, ale na przykład ilość chorych przyjętych do szpitali psychiatrycznych w ciągu jednego roku w Polsce, w porównaniu z okresem przedwojennym, wzrosła około sześciokrotnie. Istnieje także opieka psychiatryczna otwarta, która przyjmuje prawie połowę wszystkich chorych do leczenia ambulatoryjnego. Łącznie, ponad sto kilkadziesiąt tysięcy osób korzysta w ciągu każdego roku z opieki psychiatrycznej.

**ODGŁOSY: Czy notuje się zmiany statystyczne w obrębie poszczególnych typów chorób psychicznych?**

**PROF. CWYNAR:** Niektóre choroby psychiczne są coraz rzadsze, np. paraliż postępujący na tle kiły. Medycyna leczy w tym przypadku ciernienie podstawowe, które jest przyczyną paraliżu postępującego. Powojenna akcja „W" doprowadziła do stanu, kiedy trudno było znaleźć dydaktyczny model obrazu choroby z paraliżem postępującym dla pokazania studentom. Jest to pouczający wynik pewnych akcji profilaktycznych, stosowanych wobec chorób psychicznych.

Również choroby o nieznanym czynniku wywoławczym, jak np. schizofrenie, psychozy maniakalno-depresyjne, nie wykazują specjalnych tendencji wzrostowych. Natomiast o wiele więcej jest chorób pocho-

Dalszy ciąg na str. 3

ANDRZEJ MAKOWIECKI

## Baza na rozstajach

Może się zdarzyć, że do małego miasteczka — jeśli tylko jest w nim hotel lub gościnne kwatery do spania — przyjedzie teatr. Miasteczko to wówczas zamieni się w bazę, z której, przez kilka dni, wciąż inną z rozstajnych dróg, teatr ruszy na odległą prowincję, do wsi, wiosek i osiedli, by nasycić je kulturą. Potem zniknie z miasteczka. Nagle! — Jak cygański wóz. Jak wędrowna niegdyś trupa komediantów.

Będzie to teatr dwustu scen i kilkunastu baz. — Teatr-widmo. Dzielny i potrzebny, nieamatorski, niezblazowany, daleki od chałtury. Daleki także wciąż od domu, od Łodzi, bo to teatr objazdowy. Ludzie często smutni w nim, stroskani...

Właśnie rusza w drogę. Na Wieluń! Do bazy. Sprzęty wiezie ciężarówka, aktorów — autokar. Jest mróz; pada śnieg, więc na szosach zaspy...

1.

Na autokar mówi aktor — „trumna". Spędza w nim przeciętnie po pięć godzin dziennie. Nie kocha go. Nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić, choć jeździ już siedem lat. W swym dzienniku napisał:

*„Niedziela. Siedzę w „trumnie" trzecią godzinę. Jestem wykończony! Koła zjeżdżają z kocich łbów na kocie łby. Czuję jak w opony wbija się najmniejszy nawet kamyk. Cholera — niedobrze ze mną. Jeśli czuję najmniejszy nawet kamyk, to niedobrze ze mną. Takimi kamieniami musi być wybrukowane piekło".*

2.

Sceny, na których gra aktor, mieszczą się przeważnie w remizach strażackich, świetlicach, barakach i izbach. Czasami także w kinach i domach kultury.

Sceny, na których gra aktor, są przeważnie małe i niskie — trudno je ustroić w dekoracje nie okaleczoną z pewnych elementów; są — poza tym — odpowiednio zimne. — Odpowiednio, aby zachorować...

Przy temperaturze 10 stopni aktor ledwo pociąga nosem: jest zahartowany!

Przy sześciu stopniach — gdy na dworze poniżej piętnastu — aktor z lekka się buntuje. Ale grał w „Niecierpliwym sercu"! W szpitalnej, rozchełstanej na piersiach piżamie! Bez podkoszulki, za to — w kalesonach, podwiniętych chytrze pod kolana.

Gdy termometr wskazał na zero, pewien aktor powiedział:

— Mam w d...!

Przedstawienie odwołano.

3.

Garderoba to azyl aktora. W niej się kryje przed zimnem, przed napaścią ciekawego tłumu, w niej tajemnie wciera szminkę w zmarszczki, powtarza rolę i „stroi się" do gry. Spędza tu — jak zwykło się mawiać — połowę swego życia, a ściślej: półtorej godziny dziennie (nie licząc pauz między wejściami i parominutowych antraktów).

Garderoby są różne, krzywe, proste i podłużne, ciasne i koedukacyjne; tam, na zapadłej prowincji, najczęściej — improwizowane, ukryte w ciepłych kątach kulis, w korytarzach i dziwacznych wnękach, pozastawiane skrzętnie wieszakami, resztkami zbędnych rekwizytów, parawanikami z prywatnej odzieży, jednym słowem: czym się da.

Bo garderoba to azyl aktora. To ostatnia deska ratunku. Jest tu wiadro — najwspanialszy z wynalazków, nędzna wprawdzie namiastka toalety, ale skarb, prawdziwy skarb, skarb w Czastarach, Złoczewie i Ostrówku, i w wielu innych wioskach i osadach, gdzie są wszakże remizy i kina, szkoły Tysiąclecia i gospody, lecz bez małych kątów intymności...

Na scenie w Czastarach, mimo zimna i drętwej publiczności, aktorka poci się obficie: czyżby trema?... Już czwarty akt „Pułapki", ostatni. Aktorka narzuca szaleńcze tempo, skraca zdania, spłyca treści, przemawia do kolegów oczami: spieszcie się, spieszcie, spieszcie! Później jeszcze się kłania, próbuje się jeszcze uśmiechnąć, a gdy wreszcie kurtyna opada, leci jak bomba do takiej koedukacyjnej garderoby, krzycząc: wyjdźcie stąd panowie! Wyjdźcie stąd na chwilę! Wyjdźcie! Więc panowie suną na korytarz, albo do kiszkowatej ale wcale nie najgorszej kawiarni, co do niego przylega, co świeci setką ilustrowanych tygodników, „Kulturą", „Przekrojem", „Mło-

Dalszy ciąg na str. 4

# ŻE ŚWIATA

*„Goldwateryzacja" polityki amerykańskiej wobec Wietnamu, bo to jest chyba najwłaściwsze określenie dla poczynań Stanów Zjednoczonych w Indochinach, budzi uzasadniony niepokój opinii światowej. Zdecydowane stanowisko wobec tych awanturniczych kroków zajęli uczestnicy moskiewskiego spotkania partii komunistycznych i robotniczych, a także rząd radziecki w nocie, jaką min. Gromyko przekazał ambasadorowi USA w Moskwie.*

*Równocześnie konflikt wietnamski jest przedmiotem licznych akcji dyplomatycznych i oświadczeń. Wymieńmy tylko niektóre: konsultacje rządu Jugosławii z szeregiem krajów niezaangażowanych, wypowiedź premiera Japonii — Sato na rzecz zwołania międzynarodowej konferencji, rozmowę eks-dyktatora Wietnamu Płd. — gen. Khana z sekretarzem generalnym ONZ — U Thantem, konferencję Harrimana z premierem Indii — Shastri...*

*Mimo coraz liczniejszych głosów za rokowaniami — Stany Zjednoczone trwają przy swej karkołomnej taktyce, która — w myśl słów komentatorów amerykańskich — polegać ma na „zmienieniu układu sił na swoją korzyść przed ewentualnymi rokowaniami". Nikt nie ma już właściwie wątpliwości, że Waszyngton wyłożył karty na stół: ponieważ obecnie wszelkie rokowania musiałyby się zakończyć porażką USA — chce on prowadzić akcję militarną, łudząc się, że w ten sposób uzyska lepszy punkt wyjścia do rozmów. Utarło się nawet na łamach prasy amerykańskiej określenie: „polityka antykryzysowa"; co ma oznaczać, że presja militarna w Wietnamie może przerwać pasmo niepowodzeń i uchronić Stany Zjednoczone od zdecydowanej klęski.*

*Aż wierzyć się nie chce, że ktokolwiek może jeszcze dziś oczekiwać rozwiązań na tej drodze. Czyżby johnsonowską politykę opanował duch eks-senatora z Arizony, który opowiadał się „za stopniowym rozszerzaniem wojny w Wietnamie Północnym by... przywrócić pokój w Wietnamie Południowym?". Jeśli tak, to trzeba koniecznie przypomnieć, jakiej odpowiedzi udzielił Goldwaterowi naród amerykański w dniu wyborów.*

*Po raz już któryś z rzędu wydarzenia zmusiły mnie do rozpoczęcia tygodniowego komentarza omówieniem problemu wietnamskiego. W ostatnim okresie majoryzuje on wiele innych. Nie chciałbym jednak, by Czytelnicy wyprowadzili z tego fałszywy wniosek, że inne wydarzenia nie zasługują na uwagę. Ot, chociażby to.*

*Na łamach prasy codziennej ukazała się niewielka informacja, z której czytelnik dowiedział się, że na zaproszenie rządu francuskiego uda się z kilkudniową wizytą do Paryża min. Gromyko. Jeszcze w tym roku swego radzieckiego kolegę zrewizytuje w Moskwie min. Couve de Mourville.*

*Nieco wcześniej, bo na przyjęciu wydanym przez premiera Stopha z okazji otwarcia Targów Lipskich, bawiący wówczas w NRD prem. A. Kosygin w odpowiedzi na pytania dziennikarzy zagranicznych, czy złoży wizytę we Francji stwierdził: „Z radością powitamy prezydenta de Gaulle'a w Moskwie".*

*Zbieg tych dwóch informacji stał się przyczyną licznych dociekań komentatorów zagranicznych i licznych refleksji. Dominuje w nich myśl o dalszym zbliżeniu francusko-radzieckim.*

*Publicyści przypominają, że stanowisko obu krajów w sprawach europejskich jest „w daleko idącym stopniu zbieżne" i wymieniają punkty tej zbieżności: przeciwdziałanie powstaniu multilateralnych sił nuklearnych, stanowisko w sprawie wschodnich granic Niemiec...*

*„General Anzeiger" stwierdza nawet, że w stosunkach francusko-radzieckich „słońce świeci tak mocno, jak nigdy przedtem od r. 1945...", komentatorzy zaś amerykańscy zauważają, że „w ostatnich czasach Paryż częściej zgadza się z Moskwą niż Waszyngtonem".*

*Wybaczmy publicystom ich dziennikarską przesadę, odnotujmy natomiast, że ostatnie zapowiedzi były dużą niespodzianką dla części zachodnich komentatorów. Chociaż właściwie nie bardzo rozumieniu dlaczego. Przecież realizm de Gaulle'a, jego rozsądny pogląd na wiele problemów międzynarodowych, żeby wymienić jeszcze kwestię wietnamską, aktywną politykę wschodnią, powinny sugerować komentatorom myśl o takim rozwoju stosunków. A może odrzucano ją po prostu dlatego, że dla wielu polityków zachodnich jest ona bardzo niewygodna?*

*Skoro już mowa o wizytach — to zwróćmy uwagę na pobyt Wilsona w Niemczech zachodnich i zapowiedzianą wizytę min. Gromyki w Londynie. Z już odbytych, oczywiście, najżywsze komentarze wywołała podróż Waltera Ulbrichta do Egiptu.*

*Poświęciliśmy jej kilkanaście słów w ub. tygodniu. Zgodnie z przewidywaniami — końcowy komunikat z rozmów potwierdza dalsze zbliżenie między Zjednoczoną Republiką Arabską a Niemiecką Republiką Demokratyczną oraz zapowiada rewizytę prezydenta Nasera w NRD.*

*Podczas gdy rząd boński długo zastanawiał się nad sankcjami wobec Egiptu (dwukrotnie odraczano posiedzenie by ostatecznie odmówić pomocy gospodarczej ZRA — decyzja ta może mieć poważne reperkusje w świecie arabskim), prasa zachodnioniemiecka nadal rozpamiętywała poniesioną porażkę. „Stuttgarter Zeitung" np. w takich słowach ocenia „umiejętności" dyplomatyczne gabinetu bońskiego: „Otrzymał on obecnie pokwitowanie za próbę szukania sukcesów tam, gdzie ich nie ma. Z tego pokwitowania można wyczytać, jak bardzo spada kurs własnej wartości, jeżeli nie ma się żadnego wyobrażenia o kolejności, pozostających do rozwiązania problemów".*

*Wymowna ocena, prawda?*

*W. SŁAWSKI*

# Kronika tygodnia

**NIEDZIELA,**
**28 lutego**

■ **Przedmiotem licznych komentarzy agencji zachodnich stała się wypowiedź prezydenta Kekkonena w czasie jego niedawnego pobytu w Moskwie. Prezydent poruszył kwestię wielostronnych sił nuklearnych, podkreślając, że siły takie byłyby zagrożeniem pokoju, szcze gólnie gdyby uczestniczyła w nich NRF. Po czym dodał, że Finlandia będzie mogła przestrzegać swej polityki neutralności jedynie w warunkach, jeśli w Europie nie zajdą wydarzenia naruszające pokój.**

■ **Jak donoszą obserwatorzy polityczni jednym z zasadniczych zagadnień omawianych w trakcie rozmowy specjalnego wysłannika prezydenta Johnsona, Harrimana z rządem Izraela była sprawa bezpośrednich dostaw broni z USA dla Izraela. Premier Eszkol miał również pytać Harrimana, czy rząd USA gotów byłby wykorzystać swe wpływy w niektórych krajach arabskich celem skłonienia ich do zrezygnowania z planów odwrócenia biegu rzeki Jordan.**

■ **Pokój jest niepodzielny, wojna atomowa również.**

**Harold Wilson.**

**PONIEDZIAŁEK,**
**1 marca.**

■ **W Moskwie rozpoczęły się konsultacje na temat problemu jedności ruchu komunistycznego z udziałem 19 partii komunistycznych i robotniczych.**

■ **Po raz pierwszy pojawiły się w Wietnamie Południowym otwarte żądania na rzecz ustanowienia pokoju. Tendencję tę wyraża nowo powstała organizacja „Ruch na Rzecz Pokoju" grupująca przedstawicieli różnych środowisk w Sajgonie i deklarująca się jako całkowicie apolityczna. Przedstawiciele jej zwrócili się do rządu i Frontu Wyzwolenia, domagając się użycia wszystkich środków celem przywrócenia w Wietnamie Południowym pokoju. Reakcja Sajgonu była natychmiastowa: policja dokonała licznych aresztowań, oskarżając zatrzymanych o „szerzenie zamętu wśród ludności".**

■ **Prasa chińska często posługuje się w swej działalności propagandowo-politycznej utworami poetyckimi, utrzymanymi w stylu klasycznym, a spełniającymi funkcję komentarza politycznego. Przykładem wiersza politycznego był opublikowany w swoim czasie w prasie codziennej utwór jednego z działaczy politycznych ChRL, poświęcony wybuchowi chińskiej bomby atomowej.**

**WTOREK**
**2 marca**

■ **W związku z prowokacyjną akcją lotnictwa amerykańskiego na terytorium Wietnamu Północnego, rząd ZSRR opublikował oświadczenie, w którym przestrzega władze amerykańskie przed konsekwencjami stosowanej przez nie polityki. „Poczynania USA — czytamy w radzieckim dokumencie — nie dają się pogodzić z deklaracjami o chęci polepszenia stosunków z ZSRR. Co więcej, posunięcia te osłabiają podstawę, na której jedynie mogą się kształtować stosunki między ZSRR i USA. Mianowicie — zasadę pokojowego współistnienia.**

■ **W bońskich kołach obserwatorów politycznych mówi się o możliwości ustąpienia ministra spraw zagranicznych NRF — Gerharda Schroedera. Dymisja zachodnioniemieckiego ministra oznaczałaby, iż jemu właśnie wyznaczono rolę „kozła ofiarnego", aby zatuszować blamaż i kompromitację bońskiej polityki zagranicznej na tle wizyty W. Ulbrichta w Kairze.**

■ **Wydawnictwa kubańskie planują w roku bieżącym wydanie przekładów wszystkich dzieł Marcela Prousta, Franza Kafki i Jamesa Joyce'a w nakładzie po 80 tysięcy egzemplarzy.**

**ŚRODA**
**3 marca**

■ **Prezydent Johnson — pisze w związku z wydarzeniami w Wietnamie „Monde" — wykazuje, że z chwilą gdy w grę wchodzą interesy Stanów Zjednoczonych lub ich miłość własna, postępują tak samo jak postępowały w ciągu wieków zawsze wielkie mocarstwa. „Combat" zaś stwierdza, że polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych opiera się w większym stopniu na koncepcjach McNamary i jego generałów, niż Departamentu Stanu. J. F. Kennedy czynił wszystko, by zlikwidować „definitywnie" hegemonię Pentagonu. Jego następca właśnie przywraca mu supremację, a generałowie i marszałkowie w niektórych innych krajach czekają tylko na okazję by pójść w ślady Waszyngtonu.**

■ **Więźniowie skazani przez sądy kubańskie za działalność kontrrewolucyjną i przechodzący reedukację w obozach odbywania kary na wyspie Isla de Pinos będą mogli w myśl zapowiedzi Fidela Castro, podjąć naukę w specjalnie tworzonej średniej szkole rolniczej. Szkoła ma kształcić techników gleboznawstwa, stosowania nawozów sztucznych i żywienia bydła. Po uzyskaniu dyplomu więźniowie mogą rozpocząć studia korespondencyjne na uniwersytecie hawańskim.**

■ **„Jesteśmy przeciwko turystycznym podróżom. Jeśli jednak jakaś podróż służy pożytecznym celom, wówczas pojedziemy".**

**ALEKSIEJ KOSYGIN**

**CZWARTEK**
**4 marca**

■ **Gaulliści zamierzają utworzyć nową partię polityczną. Wiadomość tę podał minister spraw wewnętrznych Francji Frey. Zasady organizacyjne nowej partii opierać się mają na wzorach anglosaskich. Będzie ona szersza od obecnej UNR, otwarta „dla tych wszystkich, którzy wierzą w zdrową i odmłodzoną demokrację".**

■ **W ZSRR zakończono pracę nad realizacją filmu dokumentalnego „Stronice nieśmiertelności" — poświęconego wydarzeniom Rewolucji Październikowej i Wojny Domowej. W filmie ukazano sylwetki słynnych dowódców i komisarzy Czerwonej Armii, a między innymi tych, którzy zostali represjonowani w okresie kultu jednostki, jak W. Bluechera, M. Tuchaczewskiego, I. Jakira, A. Jegorowa, F. Raskolnikowa i innych.**

■ **„Rokiem obfitych plonów i tłustego bydła" — nazwali chłopi chińscy rok 1964. Osiągnięte rezultaty przekroczyły znacznie wyniki z roku 1963 i 1962. W niektórych prowincjach uzyskano takie plony, jakich nie znała historia tych rejonów.**

**PIĄTEK**
**5 marca**

■ **Wyraźnie nie wiedzie się byłemu dyktatorowi Południowego Wietnamu generałowi Khanowi. Pokonany przez rywalizujące kliki wojskowe i cywilne w rozgrywkach o władzę nie zyskał również sławy w roli dyplomaty. Jego deklaracje polityczne złożone wobec dziennikarzy włoskich skomentowane zostały, jako „najbardziej zakłamane i nie dorzeczne w historii współczesnej dyplomacji".**

■ **Opinia publiczna USA odwraca się od NRF — skarży się wiceprzewodniczący Bundestagu Carlo Schmid. W znacznej mierze wiąże się to z faktem — pisze Schmid — iż w Ameryce ludzie nie rozumieją, jak stało się to możliwe, że przedłużenie terminu ścigania zbrodni hitlerowskich, popełnionych w okresie wojny stanowić może dla nas jakiś problem prawnopaństwowy. Nie mogą zrozumieć, iż bez znaczenia może być fakt, że w Niemczech mogą żyć między nami, nie obawiając się sądu i kary, mordercy z obozów koncentracyjnych.**

■ **Gradem pomidorów, jaj, monet, okrzykami „Wietnam, Kuba" przyjęli studenci argentyńscy kierownika wydziału planowania Departamentu Stanu USA Walta Rostowa. Amerykański dyplomata, który zabiegał o to spotkanie opuścił uniwersytet w towarzystwie dziekana, daremnie wzywającego młodzież do „akademickiego współistnienia".**

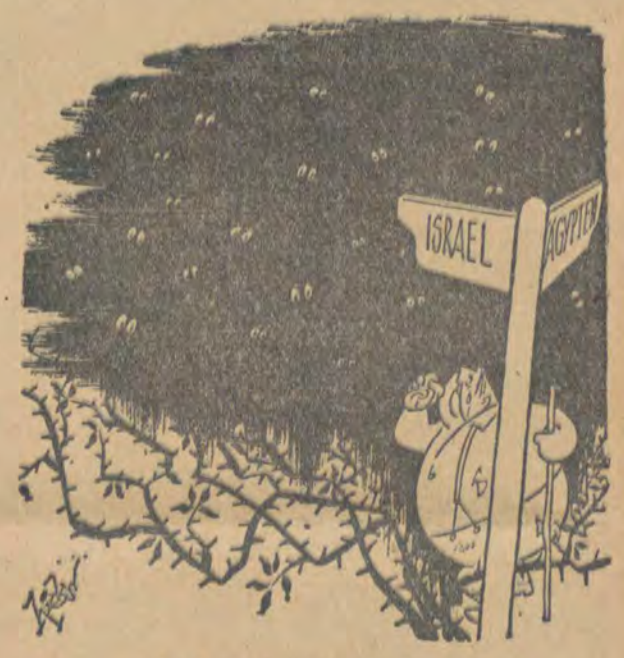


*Erhard na rozstajnych drogach.*
(Die Welt)

**SOBOTA**
**6 marca**

■ **„Krasnaja Zwiezda" publikuje artykuł poświęcony pamięci b. szefa wywiadu Armii Czerwonej Siemiona Urickiego. Siemion Uricki padł ofiarą histerycznej kampanii oszczerstw i „szpiegomanii" — pisze dziennik — podjętej z błogosławieństwa Stalina.**

■ **Na wschodnim wybrzeżu USA ukonstytuowała się nowa organizacja, która w myśl założeń programowych ma stanowić pomost między grupami faszyzującymi a tradycyjną prawicą republikańską. Członkami kierownictwa nowej partii są m. in. byli pracownicy sztabu wyborczego senatora Goldwatera. Ambicją tej organizacji jest uzyskanie w możliwie krótkim czasie pozycji równorzędnej z demokratami i republikanami.**

■ **„Nie zgadzam się absolutnie z zachodnimi artystami — mówi w wywiadzie udzielonym dziennikowi „Le Monde" Ilja Erenburg, — którzy przypisują wszystko co złe w naszej sztuce zaangażowanej. Są oczywiście artyści zaangażowani, którzy tworzą rzeczy szkaradne — wiemy coś o tym. Lecz czyż można pisać, malować, komponować bez pasji, bez tego aby być zaangażowanym w stu procentach?"**

# POLONICA

POLONICA

**POLSKI FILM DOKUMENTALNY W OCZACH RADZIECKIEGO KRYTYKA**

**W cotygodniowym dodatku do „Izwiestij" — „Niedieli" z dn. 30 stycznia br. Konstantin Sławin dokonuje oceny dorobku naszej kinematografii na odcinku filmu dokumentalnego. „Osiągnięcia polskiego filmu dokumentalnego są znane. To są wielkie osiągnięcia. Ponad 60 międzynarodowych nagród otrzymali polscy dokumentaliści". Dalej są wymienieni tacy reżyserzy, jak: K. Karabasz, T. Makarczyński, J. Łomnicki, J. Bossak, M. Możyński, E. Ziarnik, A. Wajda, J. Kawalerowicz i A. Ford.**

**Autor artykułu zadaje pytanie „w czym tkwi oryginalność polskiej szkoły dokumentalnej" i zaraz sam odpowiada: „Realistyczny charakter tej szkoły nie budzi wątpliwości. Wydaje się, że Polacy nie odkrywają Ameryki, jeśli z godną zazdrości uporczywością przeciwstawiają „palącą prawdę wstrząsającemu kłamstwu". Przeszłość i teraźniejszość, honor i zdrada, wiara i niewiara — są poddawane próbie czasu. Najlepsze filmy polskich dokumentalistów głęboko ludzkie i pouczające".**

**W artykule omówione zostały „Muzykanty" — Karabasza, „Requiem dla 500 tysięcy" — Bossaka, oraz „Chwile wspomnień" — film na jubileusz dwudziestolecia Polski Ludowej. Ogólnie, otrzymaliśmy wysoką ocenę, która zobowiązuje!**

**JERZY PUTRAMENT W „LITIERATURNOJ GAZECIE"**

**Organ Zarządu Związku Pisarzy ZSRR „Litieraturnaja gazieta" z dnia 29. I. 65 r. zamieszcza rozmowę przeprowadzoną przez P. Merkina z Jerzym Putramentem. Autor „Września" i „Rzeczywistości", które były tłumaczone na język rosyjski i cieszyły się ogromnym powodzeniem, opowiedział o swoich planach i pracy pisarskiej. „Niedawno ukazał się na rynku księgarskim „Odyniec", powieść o pięknej miłości ze smutnym zakończeniem. Obecnie pracuję nad powieścią o minionej wojnie. Bohater — młody człowiek, trafia do oddziału partyzantów i zostaje adiutantem dowódcy. Chcę pokazać kształtowanie się charakteru jednostki pod wpływem poczucia władzy i odpowiedzialności spoczywającej na człowieku w specyficznych warunkach wojny. Ponadto informuje czytelników o mającym się ukazać III tomie wspomnień „Pół wieku". Tom kończy się momentem powrotu pisarza do kraju w 1950 roku po kilkuletniej pracy za granicą jako dyplomata.**

**„SOWIETSKAJA KULTURA" O XAWERYM DUNIKOWSKIM**

**Najbardziej poczytny i ciekawie redagowany dziennik Ministerstwa Kultury ZSRR wychodzący trzy razy w tygodniu — „Sowietskaja kultura" z dn. 29. I. 65 r. przynosi wiadomość o otwarciu w Warszawie muzeum Xawerego Dunikowskiego. Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że prace naszego rzeźbiarza były wysoko cenione przez rosyjskich koneserów sztuki.**

**Dziennik pisze: „26 stycznia br. w pierwszą rocznicę śmierci Xawerego Dunikowskiego, otwarto w Warszawie muzeum poświęcone pamięci wielkiego artysty. Wśród wystawionych eksponatów jest blisko sto rzeźb oraz kilkadziesiąt obrazów poświęconych głównie tematyce oświęcimskiej".**

**GORZELSKI W CAMBRIDGE**

**Styczniowy numer miesięcznika kulturalno-społecznego ukazującego się w Cambridge — „New Blackfriars" zamieścił wiersze łódzkiego poety Romana Gorzelskiego. Są to wiersze z tomu pt. „Trzy Bluesy": „Nie dotykaj snu" („Don't Touch the Dream") oraz „On London Bridge" („On London Bridge"). Autorem przekładów jest poeta angielski Anthony John Black**

# O PROBLEMACH ŻYCIA PSYCHICZNEGO

Dalszy ciąg ze str. 1

dzenia traumatycznego, urazowego. Weźmy sprawę porodów. Obecnie porody przeprowadza się z ambicją, żeby każde dziecko rodziło się żywe. Zdarza się więc, że w następstwie ciężkiego porodu przychodzą na świat dzieci z uszkodzeniami mózgu. Po-

*Prof. dr Stanisław Cwynar*

czątkowo objawy urazowe pozostają praktycznie niedostrzegalne, lecz z czasem, zwłaszcza w okresie dojrzewania, ujawniają się, powodując zmiany charakterologiczne, a nierzadko psychiczne. Tak więc tutaj pozytywne w założeniu działanie położnictwa i pediatrii odbija się czasem niekorzystnie na dalszym losie tych uratowanych dzieci.

Osiągnięcia medycyny w okresie geriatrycznym spowodowały, iż przeciętny wiek człowieka wydłużył się w Polsce z 49 do 68 lat, w krajach zachodnich do 73–75. Równocześnie ci wszyscy ludzie lepiej zakonserwowani w wyniku profilaktycznych działań współczesnej medycyny, mają już pewne defekty, które się nasilają w miarę postępu wieku i one to rozszerzają skalę rozmaitych uchybień psychiatrycznych. Jest to druga dziedzina, która znacznie powiększa procent zaburzeń psychicznych w obrębie naszego pokolenia.

**ODGŁOSY: Czy podziela Pan zdanie, że choroby psychiczne są w dużej mierze także produktem naszej „umaszynowionej" cywilizacji?**

**PROF. CWYNAR:** To jest właśnie trzecia przyczyna wynikająca z cywilizacji jako takiej. Ludzkość zmierza gwałtownie w kierunku technizacji, i to często ogromnymi przeskokami, gdzie prymitywne społeczeństwa przekształcają się nagle w społeczeństwa zaawansowane technicznie. Adaptacja jednostki do tych nowych warunków, nowego środowiska, nawet lepszego, sprowadza ze sobą szereg nadmiernych obciążeń dla układu nerwowego. Jeśli na przykład dawniej ktoś zapragnął ogrzać się, szedł po prostu do pobliskiego lasu, nazbierał gałęzi, przynosił je i rozniecał ogień. Obecnie zaś w warunkach współczesnej nam cywilizacji, spełnienie podobnego celu wymaga pójścia do urzędu opałowego, wyczekiwania przez wiele godzin w ogonku, uzyskania transportu i pokonania licznych innych przeciwności, tak że w sumie czynność ta w o wiele większym stopniu absorbuje układ nerwowy, niż owo pójście do lasu po wiązkę gałęzi. Awansując więc w klasie społecznej, zdobywając większe wygody życiowe, jednostka osiąga je za cenę coraz bardziej skomplikowanych sposobów przystosowania. Nie wszystkie oczywiście struktury psychiczne są w jednakowym stopniu podatne na rozmaite zakłócenia równowagi. Teoretycznie jednak każdy człowiek może być psychicznie chory, jeżeli przez dłuższy czas przebywa w warunkach, przekraczających jego wytrzymałość nerwową.

**ODGŁOSY: Cywilizacja komplikuje również sferę stosunków międzyludzkich.**

**PROF. CWYNAR:** Istotnie. Dawniej człowiek przez całe niemal życie utrzymywał się w obrębie rodziny, wśród niewielkiej grupy najbliższych krewnych, znajdując w tym gronie niezbędne każdemu oparcie. Natomiast współcześnie, większość ludzi dość wcześnie, już w wieku dojrzewania wychodzi poza rodzinny krąg, do szkół, fabryk, zostaje włączona do grupy społecznej, początkowo obcej, budzącej zrazu nieufność, lęk, do grupy, która nie zawsze przyjmuje nowych w ten sposób, aby się poczuli bezpieczni i ufni. Przejście w obce środowiska stwarza zawsze okazję do zamykania się ludzi w sobie. Ludzie starają się dopasować do otoczenia, którego nie znają, — reagować na wymagania grupy nie zawsze zgodne z ich nastawieniem wynikającym z całej poprzedniej historii życia własnego. Często proces adaptacji do nowego środowiska kończy się powodzeniem, jeśli oczywiście dana jednostka nie zostanie przeniesiona w inne miejsce. Zmiany środowisk budzą w człowieku narastający autyzm, ostrożność, uczucie wyosobnienia, braku perspektyw. Człowiek współczesny skazany jest, niestety, na ciągłe dostosowywanie się, baczenie aby się czymś swojej aktualnej grupie nie narazić, jakoś w danym układzie społecznym urządzić, ale najczęściej nie wie jakim ma być, jakie wzory postępowania przyjąć na trwałe. O wiele prościej wyglądało to dawniej, kiedy wystarczało ustawić się do jakiegoś ideału osobowości — jak nakazywała panująca moda — rzeźbionego przez jakąś cywilizację, religię czy filozofię. Obecnie najlepiej nadaje się do współczesności człowiek, który potrafi łatwo dostosować się do grupy, do której wchodzi. Każde przystosowanie do nowych okoliczności rozprzęga jednak do pewnego stopnia daną osobowość, stwarza stany równowagi chwiejnej, powodującej skłonność łatwego ulegania rozmaitym nerwicowym reakcjom.

**ODGŁOSY: W potocznym języku prawo obywatelstwa zdobyły sobie takie pojęcia jak frustracja, alienacja. Czy sądzi Pan, że wymienione stany są zjawiskiem masowym, czy też istnieje na nie swego rodzaju poza, snobizm, szczególnie wśród młodego pokolenia?**

**PROF. CWYNAR:** Była to w poważnym stopniu odpowiedź psychiki młodzieży na zmiany, jakie zaszły w naszym życiu. Powojenne pokolenie młodzieży przystosowywało się do nowych warunków w wieku dojrzewania. Trudności procesu adaptacji manifestowały się poprzez różnego rodzaju snobizmy. Były one wyrazem szukania związku między podobnymi sobie nieprzystosowaniem, grupą, która nie czuła się dobrze w ogólnym nurcie szybko zmieniającej się i początkowo trudnej rzeczywistości. Młode pokolenie, które nadchodzi, wychowywane już w nowych bardziej ustalonych warunkach, wykazuje coraz mniej skłonności do udziwnień, pozowania na niezwykłość. Jest ono pogodniejsze, spokojniejsze, o zainteresowaniach zwróconych bardziej ku życiu.

**ODGŁOSY: Jakie zalecenia stosuje współczesna medycyna w zakresie profilaktyki chorób psychicznych?**

**PROF. CWYNAR:** Najpowszechniejszym sposobem zapobiegania zaburzeniom psychicznym będzie poprawa warunków ekonomicznych społeczeństwa. Wraz ze wzrostem zamożności możliwe będzie rozwiązanie wielu trudnych spraw zarówno w życiu społecznym, rodzinnym jak i osobniczym, nastręczającym jeszcze dużo okazji do nadmiernego obciążania systemu nerwowego.

Istotne znaczenie posiada podniesienie poziomu kultury ogólnej społeczeństwa, stworzenie jakiegoś wyższego stopnia humanizmu, życzliwości między ludźmi, tak, aby mogło powstać większe poczucie wzajemnego bezpieczeństwa, zaufania, że w razie trudnych życiowo sytuacji ludzie pomogą. Trzecia sprawą jest wgląd w urodzenia i warunki urodzeń, jeszcze lepszej techniki przyjmowania porodów, kwalifikowania, która kobieta może urodzić zwyczajnie, u której zaś należy zastosować cesarskie cięcie. Nakłada to dalsze poważne obowiązki na ginekologię, położnictwo i pediatrię.

Nie bez znaczenia jest również rozproszenie obaw u ludzi starszych przed wiekiem rentowym. Jeśli zapewni się osobom starszym warunki bytowania mniej trudne, to okres starości przestanie być postrachem. Mniej będzie załamanych, cierpiących na depresje involucyjne, często tylko reaktywne. Sprawa opieki, pomocy ludziom starszym winna znaleźć swe miejsce w tematyce zarówno literatury jak i akcji społecznych.

Ogromne znaczenie w zakresie profilaktyki posiada wyeliminowanie z życia społecznego alkoholizmu, sprawcy wielu chorób psychicznych. Poza tym dalsza walka z chorobami infekcyjnymi, zapaleniem mózgu itp.

**ODGŁOSY: Jakie są podstawowe zasady nowego projektu ustawy?**

**PROF. CWYNAR:** Głównym założeniem projektu ustawy jest uporządkowanie spraw, które dotąd nie były w ogóle niczym regulowane. W dotychczasowej praktyce lekarze psychiatrzy brali na siebie obowiązek kierowania chorych do szpitali psychiatrycznych, nie mając ku temu żadnych podstaw prawnych. To, że nie wytaczano nam procesów przypisać należy wyłącznie nieuświadomieniu społecznemu faktycznego stanu prawnego. A wiadomo przecież, że w znacznym procencie chorzy psychicznie nie rozumieją, że są chorzy, a jeśli nawet zdają sobie z tego sprawę, nie zawsze chcą się leczyć. Musiano więc tę formalno-prawną stronę pracy lekarzy psychiatrów rozwiązać, wyposażając jakąś instancję w uprawnienia zezwalające na kierowanie chorego na leczenie, nawet w wypadku gdy się chory opiera, przymusowo. Aby nie była to jakaś przymusowość typu administracyjnego należało upoważnić dla tych celów lekarzy specjalistów, przychodnie zdrowia psychicznego, a w razie nagłej konieczności każdego lekarza.

Ustawa reguluje również sprawę zatrudnienia chorych. Osoby cierpiące na choroby psychiczne będą korzystały w okresie leczenia z prawa, na mocy którego zwolnienie ich z pracy może nastąpić dopiero po upływie 6-miesięcznego okresu czasu. Ustawa nakłada także na zakłady pracy obowiązek zatrudnienia rekonwalescenta. W wypadku gdyby ozdrowieniec nie był w stanie podołać obowiązkom wynikającym z dotychczas zajmowanego stanowiska, pracodawca winien jest zatrudnić go na innym, nie wymagającym takiego obciążenia psychicznego.

Nowe przepisy zalecają tworzenie specjalnych warsztatów pracy dla osób, które przebyły leczenie z wynikiem niekompletnym. Szereg tego rodzaju warsztatów pracy chronionej prowadzi Związek Inwalidów, w których zatrudniani są także „inwalidzi psychiczni". Uczą się tam pracy poprzednio wykonywanej lub innej otrzymując w zamian odpowiednie wynagrodzenie. Często, praca tych ludzi jest tak intensywna, tak wydajna, że przekracza znacznie wyniki osiągane przez osoby zdrowe. Dotychczas osoby te nie były dopuszczane do pracy, jako niezupełnie zdrowe, mimo że praca stanowiła dla wielu z nich czynnik rehabilitacji cywilnej.

Istniał problem osób nieuleczalnych, niezdolnych do pracy. Wiadomo, że człowiek musi z czegoś żyć. Czasami domownicy mający zbyt mało serca, mało pieniędzy, usiłowali pozbyć się chorego, przerzucając go pod opiekę szpitala, państwa. Projekt ustawy zapewnia tej kategorii chorych rentę w wysokości 80 proc. najniższej renty krajowej.

Obecna ustawa otwiera szerokie możliwości humanistycznej opieki nad psychicznie chorymi i ozdrowieńcami, dając jednym możliwość powrotu do warsztatów pracy, drugim przez zapewnienie pomocy materialnej sprawia, że nie będą oni w rodzinie tak pomiatani, jak to obecnie jeszcze często się zdarza.

Wszyscy psychiatrzy czekają z zainteresowaniem na ukazanie się tej ustawy.

Rozmawiał: **ZBIGNIEW FALIŃSKI**

# MŁODOŚĆ ZAKWITAJĄCA

**ZOFIA LORENTZ**

**Statystyka — to nie moja dziedzina. Chętnie unikam cyfr. Ale w tym wypadku doznaję pokusy sprawdzenia, ile łódzkich dziewcząt zmarnowało się tylko dlatego, że ani w mieście, ani w województwie nie ma domu wychowawczego dla „moralnie zaniedbanych" dziewcząt.**

„Moralnie zaniedbane" — to termin urzędowy, mowa potoczna używa bardziej realistycznych określeń, więc chodzi po prostu o wykolejone dziewczęta, które — na skutek takich czy innych okoliczności — albo już weszły na drogę prostytucji, albo stoją od niej o krok.

Wchodząc głębiej w problematykę tzw. trudnej młodzieży widzę, że i tu pojawia się szablon. Chociaż każdy przypadek da się traktować indywidualnie, zestawienie chociażby kilkunastu pozwala już na ustalenie paru modeli, na których właściwie wyczerpują się rodzaje wykolejenia czy przestępczości. Przy czym o wiele bogatsze będą „wyczyny" chłopców, podczas gdy „przygody" dziewcząt, nawet te rozpoczynające się ciekawie, kończą się jednakowo...

Prostytucja nie jest karalna, stąd bardzo niewiele wykolejonych dziewcząt trafia do domów poprawczych, prowadzonych przez Ministerstwo Sprawiedliwości, a mówiąc ściślej tylko te, które jednocześnie z prostytuowaniem się — kradły.

Reszta... właśnie ta olbrzymia reszta „nastolatek", zaprawianych do życia seksualnego na „prywatkach" czy tzw. „chatach", ale jednocześnie niezupełnie zdemoralizowanych (a tym samym nie całkowicie straconych dla społeczeństwa), na które jednak dom rodzicielski nie ma już zupełnie wpływu, — ta reszta, uchwycona i wnikliwie przez organa opiekuńcze rozpoznana, **wymyka im się z rąk tylko dlatego, że nie ma jej gdzie umieścić.**

Bo ma domy wychowawcze dla dziewcząt: Warszawa, Katowice, Poznań i Gdańsk, ba — nawet Kielce, ale nie ma go 700-tysięczna Łódź, ośrodek przemysłu włókienniczego, zatrudniającego prawie wyłącznie kobiety; jedyne miasto w Polsce, gdzie na 100 mężczyzn przypada 116 kobiet.

— Więc ostatecznie, co z nimi robicie? — dopytuję się osób kompetentnych w Sądzie dla Nieletnich, w Kuratorium, w Milicji i Domu Zatrzymań.

— Piszemy: do Warszawy, Poznania, Katowic, Gdańska, ba — nawet do Kielc, z zapytaniem, czy nie mają przypadkiem wolnych miejsc. Odpowiadają zazwyczaj, że niestety — nie. Ale za miesiąc lub może dwa może się coś zwolni. Więc odsyłamy z powrotem takie zagrożone moralnie dziewczęta do rodzicielskiego domu, z którego uciekły, albo pozostawiamy w tym samym środowisku, które jest właśnie źródłem demoralizacji dziewczyny. I tam ma czekać na przydział: miesiąc, dwa i trzy... Czyż nie jest to przysłowiowe przelewanie z pustego w próżne?

A przecież jeśli chodzi o akcję resocjalizacji wykolejonej młodzieży Łódź zajmuje przodujące miejsce. **Tu korelacja działania Sądu dla Nieletnich, Kuratorium i Milicji nie jest fikcją. Tu się w tej dziedzinie naprawdę coś robi.**

A jednak ponoć od trzech lat dyskutowana na różnych szczeblach sprawa otwarcia w Łodzi zakładu wychowawczego dla dziewcząt idzie jak po grudzie. Może gdyby dało się wykazać, ile dziewcząt w ciągu tych trzech lat namysłów i narad... Może gdyby użyć tej cyfry jako „podkładki" do akt sprawy otwarcia domu wychowawczego dla dziewcząt w mieście Łodzi?

Ale statystyka, to nie moja dziedzina. Ja siaduję po prostu w Izbie Zatrzymań czy w Sądzie dla Nieletnich i przeglądam akta: meldunki, relacje z wywiadów środowiskowych, zażalenia, protokoły, ankiety — las ludzkich nieszczęść, klęsk, zawodów, dramatów, ale jednocześnie i morze cynizmu, zepsucia, głupoty i złej woli.

W tym wszystkim rośnie dziecko i zakwita młodzież.

Bożena K., lat 15, zatrzymana przed kinem „Wolność" w stanie nietrzeźwym. Rodzice odmawiają zabrania jej z Izby Wytrzeźwień. Wywiad środowiskowy — dodatni: opinia sąsiadów o rodzicach Bożeny, że „to porządni, spokojni ludzie". Oboje pracują, w miejscach pracy są z nich zadowoleni. Tylko Bożena jest z nimi skłócona: „Wszystko co zrobię, co powiem, to im się nie podoba. Wiecznie tylko pretensje i marudzenia. Ani do koleżanek, ani do kina. Zdechnąć można z nudów. No, to uciekłam".

— To już nie pierwszy raz — tłumaczy matka — czasem po parę dni jej nie ma. Taki wstyd, pani sędzio...

— Czy tylko wstyd, proszę pani?

Mariola — odwrotnie, ona nie ma rodziców spokojnych. Kłócą się o byle co, a nieraz i biją. „Taka już jestem z tego nerwowa — opowiada — że jak tylko zaczynają, to ja palto na siebie i w nogi. Nieraz czekam na dworze, aż się położą spać. Wtedy dopiero wracam. Aż raz — akuratnie padał deszcz i późno już było, napotkał mnie jeden chłopak. Zwierzyłam mu się, że do domu boję się wracać, to mnie wziął do siebie, żebym z nim spała. No, to poszłam. I tak się zaczęło. Bo potem dopiero bałam się wrócić..."

Grażyna Z. twierdzi, że jej w domu nikt nie kocha. Basi — to na wszystko pozwalają, Heńkowi też. Że niby młodsi. I wszystko im się należy. A że ona ma te swoje 16 lat, — to już nie. Nieraz płacze. To żeby się chociaż zapytali dlaczego. Ani im to w głowie. Aż jeden chłopiec zaczął z nią chodzić i obiecywał, że ją będzie kochał. Myślała, że prawdę mówi. A że się okazał łajdak, to jej wina?

Helenka S. nie poszła do szkoły, bo miała nieodrobione lekcje. Najprzód chodziła po ulicach i oglądała wystawy, ale przemarzła, bo tego dnia było zimno. Więc poszła na dworzec. I tam, w poczekalni, podeszła do niej jakaś pani i zaraz wiedziała, że Helenka jest uczennicą, i powinna być w szkole, a nie jest. Mówiła, że może ją tu zatrzymać milicja, więc lepiej niech pójdzie do niej i u niej przeczeka ten szkolny czas. Może sobie popatrzeć na telewizor. Ale tam nie było telewizora, tylko trzech panów. Do domu wróciła późno, bo piła wino u tej pani i była pijana. Wszystko opowiedziała rodzicom. I odtąd żyć jej nie dają. Wyzywają od k...., że na ostatnie psy zeszła, bo to pewno nie pierwszy raz... Więc poszła znowu do tej pani na ulicę Główną. Jak nie wierzą, że była nic niewinna, to niech mają.

Do Sądu Opiekuńczego zgłasza się matka. Błaga, żeby zabrać z domu najstarszą córkę, Małgosię. Żeby gdzieś umieścić. Dziewczyna jest dobra i chętna do nauki.

— Więc dlaczego, na miłość boską, chce się pani jej pozbyć?

Matka czerwieni się, spuszcza oczy, wyłamuje palce...

— Wstyd powiedzieć, pani sędzio.

— Nie ma wstydu, gdzie jest nieszczęście.

— No, to już powiem: mój mąż, pani Sędzio, jak wróci do domu pijany, to się do niej zabiera. Muszę ją odsyłać do sąsiadki. A nieraz to i całą noc przesiedzimy obie na schodach.

— Zawodu żadnego nie znam — mówi Marysia — a zarobić trzeba.

— Nie chodziłaś do szkoły?

— Chodzić chodziłam. Do podstawówki. Ale wtedy uczyć się nie chciałam. Teraz — to może bym się i uczyła. Tylko, że teraz to już za późno.

— A dlaczego wtedy nie?

— Ciągnęło mnie na ulice. Spróbowałam raz kawiarni. Dobrze mnie tam przyjęli, uczęstowali.

— Kto?

— A chłopaki. Namówili, żeby z nimi. Poszłam raz, drugi. Potem to nawet nie miałam ochoty, ale już musiałam.

— A co na to rodzice?

— Gdzie by to oni mieli czas na takie sprawy! Jeszcze czworo młodszych w domu. Powiedzieli: byleś dziecka nie przyniosła, to rób co chcesz. Nie mają do mnie serca.

Młodość Małgosi, Bożenki, Marysi? Ojcowie miasta — pomyślcie o nich...

# LISTY DO REDAKCJI

**„ŚCIANA PŁACZU"**

**Od dawna jestem czytelnikiem „Odgłosów" i „Dziennika Łódzkiego" i tym razem z dużą uwagą i zainteresowaniem przeczytałem w ostatnim numerze „Odgłosów" czołowy artykuł p. Andrzeja Makowieckiego pt. „Ściana Płaczu".**

**Dobrze się stało, że autor tego artykułu w jaskrawym stylu obnażył kulisy rozszerzającej się plagi pijaństwa, alarmując w ten sposób opinię publiczną o zgubnych skutkach tego nałogu.**

**Ubolewania godny jest fakt, że spelunka ta mieści się w centrum miasta, w najbliższym sąsiedztwie redakcji „Odgłosów" i „Dziennika Łódzkiego" oraz siedziby władz naszego grodu — PRN.**

**Lawina procesów sądowych i różnego rodzaju wypadków i nieszczęść ludzkich, których główną przyczyną jest nadużycie alkoholu, jest czerwonym sygnałem alarmowym, wystarczającym do podjęcia akcji całkowitej likwidacji takich i podobnych „gościnnych pokoi".**

**J. W. Ch.**

* * *

**...I jeszcze jedno — słowo o postulowaniu zamknięcia pijalni w celu likwidacji alkoholizmu czy w imię ratowania grupki alkoholików — jest bzdurą opartą na micie, mówiącym, że jeśli będzie mniej knajp, będziemy mieli mniej pijaków. Przemierzyłem Europę, aż po krańce i widziałem zarówno w CSRS, jak i w Niemczech, Austrii, Szwajcarii, nawet Francji o wiele więcej i większych pijalni, niż nasza. Nikt nie proponował likwidacji tych lokali, bo naraziłby się na śmiech. A poza tym Makowiecki łatwo mógł się przekonać, że ci sami ludzie, którzy poddają się działaniu piwa, pili również w okresie, gdy pijalnię zamknięto na wiele tygodni — dokonując w niej remontu.**

**JHW**

* * *

**MPK WYJAŚNIA**

**W związku z felietonem Arystarcha w nr. 5, str. 9 z dnia 7. II. 1965 r. dotyczącym przystanków tramwajowych i zawartymi w nim zarzutami o biurokratycznym stosunku i braku zrozumienia MPK dla spraw kultury, wyjaśniamy co następuje:**

**Przedsiębiorstwo nasze nie jest upoważnione do samodzielnego lokalizowania przystanków. Wszystkie sprawy związane z likwidacją, ustawianiem nowych przystanków oraz zmianą ich lokalizacji załatwia komisja składająca się z przedstawicieli Zjednoczenia Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej, Wydziału Komunikacji PRN, Komendy Ruchu MO i MPK, powoływana przez wym. Zjednoczenie. Komisja ta rozpatruje lokalizację przystanków zarówno pod kątem bezpieczeństwa ruchu ulicznego, jak i przydatności dla społeczeństwa.**

**Autor felietonu postuluje w imię potrzeb pracowników nauki przeniesienie przystanku na ul. Narutowicza w pobliże Biblioteki Uniwersyteckiej, tj. do ul. Matejki. Nie bierze jednak pod uwagę, że przystanek znajduje się obecnie obok Domu Inwalidów i jest niezbędny dla dość dużej grupy niewidomych. Ponadto w pobliżu przystanku, na ul. Zelwerowicza, znajdują się szkoły dla dzieci głuchych i niedowidzących, do których dojeżdża również wiele kalek i którym orientacja i poruszanie się w terenie sprawia duże trudności.**

**Przydatność tego przystanku jest chyba ze względów społecznych większa niż gdyby znajdował się przy ul. Matejki, a już na pewno nazwać tego nie można względami technicznymi, jak to określa autor felietonu.**

**Nadmieniamy przy tym, że odległość od omawianego przystanku do ul. Matejki wynosi 200 m, a nie 500 m, jak zostało podane.**

**Na ul. Zachodniej przystanek tramwajowy istotnie nie jest zlokalizowany przy ul. Więckowskiego, lecz w odległości zaledwie 150 m za ulicą. Autor felietonu zdradzający duże skłonności do przesady, również i w tym wypadku ocenił tę odległość na 500 m.**

**Trudno zrozumieć, że odległość 150 m może zniechęcać społeczeństwo do udawania się do teatru i czy można to w ogóle nazywać odzwyczajaniem ludzi od teatru.**

**Uprzejmie prosimy o zamieszczenie w piśmie naszego wyjaśnienia, gdyż niezgodne z prawdą fakty podane w felietonie, zaopatrzone przy tym w nieprzyjemne określenia, muszą być żenujące dla autora, a jednocześnie krzywdzące załogę naszego przedsiębiorstwa.**

**Zastępca dyrektora**
**do spraw eksploatacji**
**INŻ. EDWARD MAJEWSKI**

* * *

**„SZKODA TWOICH ŁEZ, DZIEWCZYNO!"**

**Nie jest prawdą, jakoby dyżurny spiker łódzkiej rozgłośni PR, B. Busiakiewicz, otrzymał 6 września 1939 r. o godz. 23.00 telefonogram z Warszawy: „Nadajcie sygnał i hymn narodowy, przestańcie nadawać". Z tej prostej przyczyny, że 6 września rozgłośnia milczała. Rzecz miała miejsce wieczorem 5 września.**

**Również mylna jest informacja, że we wrześniu minie dwadzieścia lat od chwili, gdy rozgłośnia odezwała się po raz wtóry. Wynik ofiarnej pracy łódzkich techników, którzy dźwignęli z ruin swoją rozgłośnię, począł owocować w październiku 1945 r. Ściśle — uroczyste uruchomienie jej nastąpiło 21 października.**

**To wszystko gwoli historycznej prawdzie w związku z artykułem „Szkoda twoich łez, dziewczyno", zamieszczonym w nr. 5 „Odgłosów".**

**Łączę wyrazy szacunku**
**S. JUSZCZYK, Bydgoszcz**

# Baza NA rozstajach

Dalszy ciąg ze str. 1

dym Hydraulikiem" itd. Jeden z panów-aktorów powiedział wtedy:

— Tysiąc scen na Tysiąclecie. I tysiąc ustępów!

4.

Ludzie na widowniach siedzą w płaszczach, kożuchach i futrach, i trzęsą się z zimna (nie tylko na widok rozchełstanego aktora). Tak jest niemal w każdej sali, w tej wiejskiej z progu powiatu; w tej małomiejskiej, a nawet w skierniewickiej i wieluńskiej. W osiedlach i wioskach, stojące na uboczu obiekty kultury podszyte są wiatrem i tak przemarzłe, że — twierdzą kierownicy — nie pomoże tu nic, nawet piec wielki jak stodoła. Nie pomoże, twierdzą, więc nie palimy wcale. Wszak szkoda ludzkiego trudu.

Ale aktorowi trudu nie szkoda. On gra. On musi grać. On, często, pragnie grać! Grać dobrze! Dla kogo?

— Widz wiejski — mówi aktor. (I nie myli się pewnie. Jeździ z Teatrem Ziemi Łódzkiej już siódmy rok. Grał, jak z dumą powiada, na trzystu, co najmniej, scenach) — ma wzruszającą wrażliwość pierwotną, rozróżnia tylko płacz i śmiech. Warstwa intelektualna przedstawienia jest mu obojętna — nie dostrzega jej, więc chcemy go do tego zmusić. Komentarzem, krótkim wprowadzeniem do sztuki, lub karykaturalnym akcentem na kwestie najistotniejsze.

Widz wiejski angażuje się bez reszty, wszystkie bierze na serio. — Niedawno, w Łasku, pewien zahukany chłopina zaczął nagle bluźnić w trakcie akcji. Wyprowadzono chłopa na korytarz. Jeden z „technicznych" zespołu spytał go:

— Cooo, nie podoba się panu?

— Podoba, podoba, ale ten ksiądz...

Rolę księdza w „Pułapce" kreuje Benczak. Robi to zapewne zbyt sugestywnie, zbyt zachłannie wyciąga rękę po ofiary. Chłopa to drażni. Zapytany podstępnie o kunszt aktorski Benczaka, wypalił:

— Grać to gra galarcie, ale mało zacapi psia wiara na parafii? Obraza boska! Jesce mu mało! Jesce pcha się do tyatru!

Przeciętny widz małomiasteczkowy, w czarnym ubraniu pod paltem, w białej koszuli, jest pewnym konglomeratem widza pierwotnego i inteligentnego. Stanowi on — jak twierdzi aktor — okaz trudny i skomplikowany. Był już w teatrze. Widział „Balladynę" i „Hamleta". Na spektakl będzie patrzył z dużym wyrafinowaniem, w absolutnym skupieniu; porówna go później z „Balladyną" i „Hamletem", i na tej podstawie oceni. Często krytycznie. Często niewłaściwie. Ale samodzielnie, według własnej koncepcji, a to już przecież niemało!

— Za pięć — sześć lat — mówi aktor — widz wiejski, utrzymujący kontakt z teatrem, zbliży się do poziomu widza małomiasteczkowego, ten zaś, w tym czasie, przekształci się w wytrawnego odbiorcę. Gdy tak się stanie, zasługa w tym nasza.

— Zgoda — mówię — wasza. Przede wszystkim wasza.

Z „Pamiętnika" aktora Mieczysława Szargana, który jest przy tym zdolnym i znanym poetą, wyczytałem:

*„Graliśmy w B. Po przedstawieniu podszedł do mnie zgarbiały człeczyna, w pachnącym naftaliną kubraczku; kubraczku; jakie chłopi wkładają na pogrzeby i chrzciny. Chłopina powiedział:*

*— To było prima. Pięknie pan tego faceta odstawił.*

*Mój Boże, siedzę teraz w „trumnie"; czuję jeszcze na naskórku jego chropawe palce i przypominam sobie fragment z „Notatnika" Stanisławskiego, co brzmi: „Teatr nie powinien zniżać się do ludu, powinien prowadzić go za sobą, wyciągać go na coraz wyższe stopnie drabiny. Powinien otwierać ludziom oczy na ideały stworzone przez lud. Ideały te są chaotycznie pomieszane, lud jest niczym góra skrywająca pokłady złota. Trzeba ją rozkopać i wydobyć z niej cenny kruszec, który po oczyszczeniu i przetopieniu staje się prawdziwym skarbem".*

5.

Kurtyna zapadła. Sala pustoszeje. Brygada „technicznych" sprawnie ogołaca scenę, zwija dekoracje, znosi rekwizyty — szafki, komody i lustra. W „garderobie" aktor ściera szminkę z twarzy, wyczesuje z włosów puder; spala przy tym dwudziestego papierosa, zapija go trzecią z rzędu filiżanką herbaty i przestraja się powoli na tak zwanego normalnego człowieka. Jest zmęczony, jak mówi: wykończony — zimnem, napięciem nerwów (dobry aktor zawsze ma tremę, nawet tam, na krańcach województwa, na spaczonych deskach prymitywnej estrady), podróżą i perspektywą nowej podróży.

W trzydzieści-czterdzieści minut po spektaklu aktor wychodzi z „teatru"; przez chwilę wdycha świeże powietrze przechadzając się wzdłuż gotowego do drogi, grającego silnikiem autokaru. Z pulchnej od śniegu, wiejskiej ścieżki, z piętnastostopniowego mrozu, wchodzi do niewiele ciepleiszego wnętrza samochodu i zajmuje SWOJE, wymoszczone derkami miejsce. Bywa, że z „piersiówki" lub zgrabnego termosu, pociągnie dla rozgrzewki długi łyk wódki, bywa że poczęstuje też kolegów. Ale uwaga, sprawdzone! Żaden aktor nie pije przed występem, w każdym razie: prawie żaden, w każdym razie nie w tym teatrze. Sympatyczny Kazio Michalski, grający w „Nocnej opowieści" Choińskiego rolę dowcipnego gazera, powiedział na ten temat:

— Panie, pijak nigdy nie zagra pijaka! Kiedyś wypiłem na tremę tylko pięćdziesiąt gram i położyłem rolę. Zamiast się zataczać, zacząłem się jąkać, a jąkały w programie nie było!

Na najmniejszą nawet ilość alkoholu aparat mowy z miejsca reaguje — zacięcia, „bełkotki", brak śliny, nieprzewidziane pauzy i „wredne" modyfikacje tekstu. Więc aktor — jeśli już, ale daję słowo: mit, że często... to po wszystkim, w czasie zasłużonego relaksu, przed snem.

Przed snem — aktor łaknie snu! W drodze powrotnej do bazy siedzi o zamkniętych oczach i majaczy mu się łóżko. Hotelowe łóżko, w którym, gdy rano się budzi, ogarnia go zawsze tęsknota za domem.

6.

Na karoserii, wielkimi literami: **PAŃSTWOWY TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ.** Widziałeś ten autobus setki razy. W Łodzi, Wieruszowie i Łowiczu, Skierniewicach i Tuszynie, widziałeś go także poza granicami województwa — w Ciechocinku, Sandomierzu i Toruniu, a nawet w Poznaniu, a nawet we Wrocławiu i Warszawie. To jest ambasador Łodzi, ambasador od trzynastu lat! To teatr, który musi grać dobrze w Skolimnie, Klonowej, Lututowie, skoro trzy dni temu wystawiał np. we Wrocławiu. Już sam kontrast miejscowości, w jakich się produkuje, jest gwarantem, że na prowincję chały nie posyła, że publiczność w kożuchach i czapkach na głowie traktuje poważnie.

Posiada dwa zespoły: pierwszy jeździ obecnie z „Nocną opowieścią", drugi z „Pułapką" Thomasa. Z pierwszym byłem w Skierniewicach, z drugim spędziłem pięć dni na wieluńskiej bazie. Tak się złożyło, że Marian Harasimowicz, aktor-filozof, świetny aktor, grający w „Opowieści" Fotografa, zastępował w „Pułapce", w roli Komisarza policji, Wacława Ścibora. Mariana znałem więc najlepiej, najdłużej; on był moim przewodnikiem, on, gdyśmy po raz pierwszy powrócili z występu na bazę i wysiedli z wozu, rozejrzał się zakłopotany po ulicy i wyraził zdziwienie...

7.

Spytałem:

— Co się stało?

— Głupstwo właściwie. Maleńkie zaburzenie toku zdarzeń!

— Nie ma jej — rzekł Szargan.

— Ano nie ma.

Benczak i Jerzy Staszewski pokiwali w zadumie głowami.

— Może umarła?...

— Nie sądzę — powiedział Marian. Pewnie przestało ją to bawić.

Gdyśmy wchodzili do hotelu, Marian wyjaśnił:

— Ilekroć przyjeżdżamy do Wieluńia, choćby to było o północy, wita nas zawsze zmarniała, pięćdziesięcioletnia kobieta. Wita nas uśmiechem, kiedy jednak usiłujemy z nią porozmawiać, spłoszona umyka. Dziś jej zabrakło, więc jest nam trochę dziwnie.

Mit — pomyślałem wówczas. — Mit starej kobiety o wielkim aktorze. O duchu bez ciała i zmartwień, kolorowym, wyśnionym królewiczu. Może kobieta zdążyła podpatrzyć wreszcie aktora, zrozumieć, że to człowiek z krwi i kości, człowiek pracy, ciężkiej pracy; może zdążyła to zrozumieć i mit upadł? I dlatego nie przyszła?

8.

Przypatrz się kobieto, królewiczowi. Właśnie wchodzi do pokoju. Myje zęby, już jest w łóżku, w jednym z czterech łóżek małej salki; już... Nie, nie, jeszcze światła nie gasi, jeszcze nie śpi — do północy, przynajmniej, będzie ślęczał nad tekstem, nad „Marchołtem" Brandstaettera — stylizacją rybałtowskiej komedii. Szyk przestawny, archaizmy, trzynastozgłoskowiec — wcale nie takie proste. Rano golenie — obowiązkowo! — Niechluja w sztuce nie przewidziano. Po zapasach z wodą — śniadanie — skromne, upichcone w hotelowym pokoju, z chleba zakupionego w Złoczewie (znakomity chleb!) i metki zakupionej w Wieluniu (znakomita metka. Najczęściej. Ostatnio aktor miał pecha: kupił salceson — pachniał perfidnie, nabył pasztetówkę — śmierdziała, metka natomiast — o zły los! — okazała się kwaśna) i herbaty „Yunan" z Czastarów. Po śniadaniu aktor (Jerzy Staszewski) znów się bierze do „Marchołta". Po śniadaniu aktor (Mieczysław Szargan) idzie na jarmark przypatrzyć się chłopom. Aktor (Marian Harasimowicz) wędruje w miasto, sklepy ogląda, medytuje nad „Tangiem" Mrożka, które strasznie chciałby wyreżyserować. (Może któryś z teatrów studenckich? „Cytryna"?, „Pstrąg"?. Chętnie skontaktuję). Aktor (Aleksander Benczak) gra na ukochanej fujarce, jest diabelnie muzykalny, więc gra cudnie.

Aktor, każdy aktor, nudzi się, tęskni za domem, pracuje nad sobą, nad przyszłą rolą, liczy godziny do wyjazdu.

Ale przedtem — obiad. Ten spożywa się w knajpie. Knajpę wieluńską, „Hotelową", forsuje aktor niechętnie. Wiążą się z nią przykre wspomnienia (parę lat temu kierowca autokaru — Harry — dostał tam nożem pod żebra. Do śmierci brakowało milimetrów. Dziś Harry czuje się świetnie, prowadzi wóz z rekwizytami), toteż zjadam szybko i zmyka do hotelu. Ma jeszcze godzinę na relaks — wyjazd o szesnastej.

Aktor jest zdyscyplinowany. Diabelnie zdyscyplinowany.

Za trzy minuty czwarta będzie już w wozie.

Za trzy godziny — na scenie.

Za trzy dni — o dolo tulacza! — za trzy dni — na innej bazie!

**ANDRZEJ MAKOWIECKI**

JULIAN BRYSZ

# SPRAWIEDLIWOŚĆ BEZ TOGI

**Nie słychać tutaj sakramentalnego „Proszę wstać, sąd idzie", nie szeleszczą togi, a jednak odczuwa się atmosferę poszanowania prawa i troskę o ferowanie sprawiedliwego wyroku. Za zniszczonym biurkiem przewodniczącego rady zakładowej, zasiadła dzisiaj komisja rozjemcza. Naprzeciw niej „strony" w fotelach.**

Kobieta, która wniosła sprawę, prosta tkaczka, najwyraźniej czuje się w fotelu niepewnie. Spogląda z obawą na radcę prawnego dyrekcji i myśli zapewne w jaki sposób potrafi sprostać jego uczonym argumentom. Ale orzeczenie zapada na jej korzyść. W świetle przepisów prawa jej racja jest bezsporna, mimo iż wcześniej dyrekcja również przepisami argumentowała swoje krzywdzące robotnicę posunięcie.

Jednak znaleźć jakiś przepis, żeby się nim „zasłonić", a rozpatrzyć sprawę wszechstronnie, skonfrontować różne przepisy i wyciągnąć ostateczny wniosek, to zupełnie co innego. Stąd różnica zdań dyrekcji, która interwencji tkaczki nie uwzględniła i komisji rozjemczej, która przyznała jej słuszność.

**Prawo broni pracownika przed krzywdzącymi decyzjami zwierzchników. Zakładowe komisje rozjemcze są równie poważnym reprezentantem tych praw, jak sądy powszechne, ich decyzje mają taką samą moc obowiązującą.** W roku ubiegłym minęło dziesięć lat od chwili powstania komisji. Okres to dostatecznie długi, by celowość ich istnienia potwierdziła się w praktyce, by zdążyła wykształcić się kadra działaczy społecznych, którzy prawo pracy znają nie gorzej, niż zawodowi stróże sprawiedliwości.

Te stwierdzenia mogą zrobić na czytelniku wrażenie zbyt ogólnych, a przez to deklaratywnych i nie odpowiadających rzeczywistości. Jestem jednak w stanie przytoczyć dostateczną ilość dowodów na ich poparcie i nie omieszkam tego dalej uczynić. Równocześnie jednak musimy sobie uświadomić, że w komisjach rozjemczych nie wykluczone są pomyłki i uchybienia, jakie w sądzie zdarzyć by się nie mogły. Członkowie komisji nie przechodzą przecież żadnych egzaminów kwalifikacyjnych, nabierają wiedzy i doświadczenia dopiero w trakcie sprawowania swych funkcji. Niekiedy też po prostu zdarza się, że wybór był niewłaściwy, że człowiek nie okazuje się godny zaufania jakim go obdarzono, delegując do komisji.

**BEZDUSZNOŚĆ CZY IGNORANCJA?**

Robotnica Łódzkich Zakładów Radiowych, Zofia K. po otrzymaniu wypowiedzenia złożyła skargę do komisji rozjemczej, twierdząc, że postanowienie dyrekcji jest krzywdzące i powzięte skutkiem błędnych wiadomości o jej pracy. Komisja podjęła uchwałę, że sprawa ta nie kwalifikuje się do rozpatrzenia, „ponieważ wymówienie jest zgodne z przepisami" (zachowano 2-tygodniowy termin).

Ustawodawca nie bez powodu uznał, że spory dotyczące rozwiązania stosunku pracy podlegają orzecznictwu komisji rozjemczych. W myśl tych wskazań komisja powinna była przeprowadzić rozprawę i poza stwierdzeniem zgodności z przepisami, ustalić również, czy Zofia K. nie podlega szczególnej ochronie, bądź czy wypowiedzenie nie pozostaje w sprzeczności z zasadami współżycia społecznego. **Mogło się przecież zdarzyć, że pozbawiono pracy jedynego żywiciela rodziny, że zwolniono robotnicę za krytykę dyrekcji, ujawnienie nieporządków, itp. Jednym słowem — było mnóstwo pytań bez odpowiedzi.**

Zamiast sprawę wyświetlić i wtedy dopiero wydać orzeczenie, podjęto „uchwałę".

W ŁPBW „Dąbrowa" zwolniony z pracy Zygmunt J., jedyny żywiciel rodziny, otrzymał od komisji rozjemczej pisemne „pouczenie": „Roszczeń swoich może dochodzić obywatel za pośrednictwem organizacji związkowych, bądź też organów nadrzędnych dyrekcji". Koniec, kropka.

Tadeusz D., pracownik Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budowlanego złożył do komisji rozjemczej wniosek o przyznanie mu wynagrodzenia za godziny nadliczbowe. Roszczenie to było przeterminowane. Komisja miała teraz dwa wyjścia zgodne z przepisami — albo przywrócić termin, albo też odmówić przywrócenia, automatycznie pouczając petenta, że przysługuje mu prawo odwołania do zarządu głównego związku zawodowego. Wybrano wyjście trzecie, nieformalne; Tadeusz D. otrzymał pisemko, że sprawa nie może być rozpatrzona, **bo wpłynęła po terminie.** Był to jednak człowiek rozgarnięty i sam wpadł na pomysł odwołania. Przewodniczący komisji okazał się wszakże jeszcze sprytniejszy, pismo z prośbą o przywrócenie terminu przetrzymał w szufladzie zamiast wysłać je do zarządu głównego, a potem zawiadomił petenta, że... odwołanie wpłynęło po terminie. Petent wszakże nie dał za wygraną,

# O POWIERZCHNI KSIĘŻYCA

Przed ośmioma miesiącami, z półtorarocznym opóźnieniem w stosunku do ustalonego programu, amerykański pojazd kosmiczny Ranger 7 przesłał na Ziemię 4316 zdjęć po czym roztrzaskał się o powierzchnię Księżyca. W dniu 21 lutego br. wystrzelony z Przylądka Kennedy na Florydzie Ranger 8 spadł na Morze Spokoju. Przez ostatnie 23 minuty istnienia, jego sześć automatycznych kamer telewizyjnych wykonało 7.500 zdjęć i przesłało je na Ziemię. W odróżnieniu od poprzednika, który spadł prawie prostopadle na Morze Obłoków i przesłane przezeń zdjęcia są serią coraz to dokładniejszych obrazów tego samego skrawka powierzchni Księżyca. Ranger 8 spadał pod kątem 48 stop. do powierzchni i uzyskane zdjęcia obejmują zwężający się pas terenu o długości około 650 km. W ostrym kontrastowym świetle Słońca dokładnie są widoczne wszelkie nierówności terenu. Sfotografowany pas zaczyna się tuż poza Morzem Obłoków, obejmuje najbardziej sfałdowane pasmo gór aż po Morze Spokoju. Dzięki temu na nowych zdjęciach po raz pierwszy dostrzeżono nowe formy nierówności terenu: długie zapadliny wywołane prawdopodobnie termicznymi ruchami skorupy oraz „dołeczkowate kratery" powstałe przypuszczalnie na skutek zsypywania się poprzez szczeliny w skorupie zalegającego powierzchnię pyłu do ukrytych w głębi jam czy jaskiń.

A więc struktura powierzchni Księżyca jest porowata! W dodatku jest on pokryty warstwą pyłu! Nie jest to dla naukowców-selenologów zaskoczeniem. Przeprowadzone w laboratoriach próby krzepnięcia krzemianów w wysokiej próżni wskazywały, iż struktura zastygającego w tych warunkach stopu jest porowata, jak pumeksu. Również od dawna spodziewano się, że powierzchnia Księżyca już 4,5 miliarda lat poddawana erozyjnemu działaniu meteorytów i cząstek słonecznych powinna być pokryta warstwą pyłu z roztartych skał. Obliczono nawet, iż w tym okresie czasu nawet dwudziestometrowe nierówności powinny były ulec niwelacji. Jedna z hipotez budowy Księżyca zakłada, że jego wielkie „morza" są dawnymi kraterami meteorytowymi, następnie wypełnionymi podpłynętą lawą. Lawa zastygając przyjęła strukturę porowatą i z upływem lat pokryta została warstwą pyłu.

Dokonana za pomocą maszyny liczącej analiza otrzymanych z Rangera 8 zdjęć dowodzi, iż owe „dołeczkowate kratery" mają około 20 m głębokości. Jeśli tak jest w rzeczywistości to należy się spodziewać, iż powierzchnia Księżyca jest niezbyt dogodnym miejscem lądowania pojazdów kosmicznych a spacery po nim zbytnio będą przypominały spacer po cienkim lodzie.

Kwestia znajomości powierzchni Księżyca jest coraz bardziej paląca. Według programu badań kosmicznych pierwsi ludzie mają wylądować na tej planecie już około 1970 roku. W grudniu ub. roku przeprowadzono pomiary temperatury powierzchni Księżyca w czasie jego zaćmienia. Zgodnie z poprzednimi pomiarami stwierdzono, iż wraz z zachodem Słońca temperatura na Księżycu bardzo szybko spada z plus 117 stop. C do minus 135 stop. C. Co ciekawsze stwierdzono, iż temperatura powierzchni Księżyca w czasie zaćmienia nie jest wszędzie jednakowa — przeciwnie, jest on pokryty setkami miejsc w których temperatura jest o 20 do 30 stop. C wyższa niż otaczających je przestrzeni. Owe gorętsze miejsca pokrywają się z nowszymi kraterami. Zjawisko to próbowano tłumaczyć na dwa sposoby: wolniejszym oddawaniem ciepła przez sprasowane uderzeniem meteorytów skały kraterów oraz różnicami w grubości skorupy Księżyca, przez cieńsze dna kraterów przenikanie ciepła z gorącego jądra planety powinno być szybsze.

Jak jest naprawdę dowiemy się przypuszczalnie dopiero od ludzi, którzy kiedyś wylądują na Srebrnym Globie. A chwila ta jak już pisałem niedaleka. Niedaleko Huston, w Teksasie dla treningu 28 astronautów, spośród których rekrutować się będzie załoga przyszłego statku księżycowego, zbudowano 110 metrowy pas „powierzchni Księżyca". Skoro wciąż nie bardzo wiadomo jak ta wygląda, pas ów jest najmakabryczniejszym rumowiskiem bloków betonowych, brył żużla wielkopiecowego i pyłu. Poszczególne odcinki podzielono czterometrowymi „granicami" pozorującymi krawędzie kraterów. Trening polega na spacerach po owym pasie w pełnym kostiumie kosmicznym i z dwudziestokilogramowym ładunkiem na plecach. „Laseczką" spacerową jest aluminiowe urządzenie przypominające kojczyk służący dzieciom do nauki chodzenia. Kojec winien zapobiegać upadkowi astronauty. Trzeba przecież pamiętać, iż rozdarcie nadmuchanego kostiumu lub rozbicie hełmu na Księżycu pozbawionym atmosfery może jedynie oznaczać śmierć kosmonauty.

# 24 godziny w Sajgonie

**W Sajgonie na przestrzeni 10 lat czternaście razy zmieniał się gabinet rządzący. Kryzys spowodowany wojną domową pogłębiają jeszcze nieustanne walki religijne.**

Absurdalny dramat tego kraju najlepiej obrazuje stara bajka:

Skorpion pragnie przedostać się przez rzekę. „Przepłynę na twym grzbiecie" — mówi do żaby. „Ale możesz mnie ukłuć!" — oponuje żaba. „Nie, bo wtedy sam utonę". „Zgoda!" — i żaba zabiera skorpiona, lecz na środku rzeki jednak skorpion kłuje żabę. „Zwariowałeś, przecież ty także utoniesz!" — woła żaba. To prawda, ale przecież jesteśmy w Azji Płd. Wschodniej.

★

Na lotnisku Ian Son Nhut — kompania honorowa marynarzy w pełnej gali prezentuje broń. Osiem trumien okrytych gwiaździstymi sztandarami zostaje załadowanych na samolot. Pilot zapala silnik — odlot.

W tym samym czasie 300 metrów dalej siedemnastu „rycerzy przestworzy", którzy właśnie powrócili z nalotu bombowego z Vinh Linh, wysłuchuje przemówienia generała lotnictwa Nguyen Cao Khy.

Jeszcze dalej długa kolejka kobiet i dzieci amerykańskich opuszcza budynek portu lotniczego. Szpalerem utworzonym z uzbrojonych marynarzy przechodzą do wielkiego transportowca — Boeninga, który zawiezie je do Stanów. W poczekalni zostaje tylko samotna zapłakana posługaczka.

★

Noc — Bar Majestic. Ośmiu Amerykanów w milczeniu siedzi na wysokich stołkach wzdłuż baru. Cicho brzdąka na pianinie wietnamski klezmer. Amerykanie milczą. Nie piją.

W głębi sali rudy chłopak i sajgońska dziewczyna trzymają się za ręce.

Na zewnątrz rozdzierają ciemność reflektory barek transportowych, w oddali monotonny pomruk dział.

Godzina 6 rano. Alarm w koszarach i hotelach wojskowych. Po kilkunastu minutach na schodach rozbrzmiewa ciężki tupot kroków. To zbiegają ludzie w battle dressach w pełnym rynsztunku bojowym. Gotowi do kolejnej „operacji" ładują się na kanciaste Dodge, poprawiając w pośpiechu zwisające z bioder, na wzór kowbojski, pistolety.

★

Około godz. 11 miasto ożywa. Tarasy kawiarni zapełniają się. Nigdy Sajgon nie robił wrażenia bardziej bogatego i wesołego niż obecnie: sklepy przepełnione amerykańskimi materiałami. Pięć wspaniałych, klimatyzowanych lokali rozrywkowych, 15 barów czynnych całą noc. Wszędzie pełno i gwarno, a przecież w tej wesołości jest coś sztucznego, jakaś beznadziejność, w tym bogactwie jakiś fałsz. Sajgon dzisiejszy przypomina Berlin zach. z okresu wielkiego kryzysu zimnowojennego. Budżet miasta w styczniu 1964 przewidywał 22 miliardy wpływów, w tym 12 miliardów z podatków, a 10 z pomocy USA. Wydatki jednak przewidziano na 29 miliardów, lecz już w czerwcu nowym dekretem ogłoszono 36 miliardów wydatków. W jaki sposób ten deficyt został pokryty — pozostanie tajemnicą. W istocie Sajgon stoi u progu kryzysu. Rodziny amerykańskich „doradców" wyjechały, obroty w handlu spadły. Pozostały niezliczone nocne lokale — te jeszcze mogą się cieszyć „saldem dolarowym". W dzielnicy „tubylczej" krzyk; ścisk, handel na ulicy. Tysiące kobiet, mężczyzn i dzieci, przeważnie niemal nagich — rodzą się, jedzą, śmieją się i przeklinają a wreszcie umierają — na ulicy.

Odnosi się wrażenie, że mieszkańcy Sajgonu są głęboko obojętni na to co ich czeka.

Trudno tu spotkać ludzi o sprecyzowanych przekonaniach (z wyjątkiem fanatyków religijnych — ci są przeciwnikami komunizmu — inni nie).

Lecz jedno uczucie jednoczy ten, pozbawiony określonego światopoglądu tłum, to gwałtowna nienawiść do Amerykanów i wszystkiego co amerykańskie.

★

Sajgon niegdyś najweselsza stolica Płd.-Wschodniej Azji dziś opuszczona przez wesołe dziewczęta, jest pełen żołnierzy przesiadujących samotnie nad kuflem piwa lub szklanką Coca-Coli. Amerykanie przechodzili w Stanach specjalne sześciomiesięczne przeszkolenie — naukę wietnamskiego i sztukę nieodróżniania się od tubylców.

**Po „pacyfikacji" jednej z wsi wietnamskich, dokonanej przez samoloty amerykańskie... Żołnierz Vietcongu trzyma w ramionach owinięte w matę zwłoki synka spalonego żywcem, w wyniku barbarzyńskiego nalotu lotniczego. Ten żołnierz wietnamskiej armii wyzwoleńczej pochodzi z tej wsi. Tutaj mieszkała jego rodzina...**

Rekrutowano samych drobnych i niewysokich, by nie odbijali od prawdziwych żołnierzy wietnamskich.

Każdy kapitan w armii wietnamskiej ma u swego boku „instruktora" — amerykańskiego porucznika. Choć w terenie nowoczesna technika wojenna traci rację bytu — w walkach partyzanckich przeciwnicy zawsze pozostają pod groźbą zasadzki.

★

Ngen Van Hoang — sekretarz szwajcarskiego biura podróży porządkuje swoje papiery, zamyka maszynę do pisania. Jest godzina szósta po południu.

— Panie dyrektorze, mówi Hoang, zechce pan przyjąć moją rezygnację z pracy.

— Nie jesteś zadowolony? — pyta Szwajcar. — Chcesz podwyżki?

— Nie, to nie to, panie dyrektorze, tylko widzi pan od jutra... ja zostanę ministrem.

★

Wieczór. Taksówka zatrzymuje się przed trzypiętrowym nowoczesnym gmachem. Wysiada z niej Europejka o smutnej zatroskanej twarzy. Podchodzi do bramy, naciska dzwonek obok tabliczki z napisem „Konsulat Francji".

Wietnamski strażnik informuje ją, że biuro już nieczynne. Wtedy kobieta wydziera kartkę z notesu i pisze:

„Panie Konsulu, gdzie mam szukać pomocy, mój mąż został uprowadzony przez partyzantów, dziś o godz. 11 rano?"

*

Biuro chiromanty — na ścianie dyplom „doktora astrologii".

Dwóch Wietnamczyków zatopionych w rozmowie pochyla się nad stołem. Jeden z nich to największy autorytet wśród 50 sajgońskich astrologów — przepowiada przyszłość przemysłowcom, politykom, a nawet żołnierzom.

— Wchodzimy w erę Węża, będzie to okres Tho Tinha.

— Tho Tinh był już w r. 1954 — wzdycha klient.

— To był rok Konia, lecz tym razem przyjdzie interwencja Hoa Tinha.

— Co to znaczy?

— Dużo krwi a potem, dopiero potem... pokój.

Opracowała:

**IRENA ŻUCHOWICZ**

---

powrócił się ze skargą wprost do ZG, **gdzie decyzję komisji uchylono, polecając sprawę rozpatrzyć. Kołomyjka ta trwała 3 miesiące, ale znacznie bardziej pikantny jest fakt, że po upływie dalszych 6 miesięcy, licząc od decyzji zarządu głównego, sprawa wciąż nie była jeszcze rozpatrzona.**

We wszystkich opisanych powyżej wypadkach, bezduszność członków komisji szła o lepsze z ignorancją. Na szczęście, są to raczej przykłady ilustrujące tezę: jak nie powinny działać komisje rozjemcze, a nie obrazy powszechne i typowe. Tak przynajmniej wynikałoby z badań przeprowadzonych w roku ubiegłym przez Prokuraturę Wojewódzką dla m. Łodzi. Badaniami objęto 94 sprawy, a więc szacunkowo około 20 procent wszystkich napływających w ciągu roku do komisji rozjemczych na terenie miasta. **Poza trzema opisanymi powyżej przykładami, nie stwierdzono więcej tak rażących uchybień ze strony ludzi powołanych do obrony najżywotniejszych interesów pracownika.**

Złą wolę i świadome lekceważenie można więc uznać za zjawiska odosobnione. Kontrola Prokuratury wykryła jednak wiele wypadków drobnych niedopatrzeń natury formalno-prawnej, których skutki bywają dla pracowników tak samo przykre. Wystarczy przecież mały „kruczek" by w sprawie najbardziej oczywistej spowodować uchylenie orzeczenia komisji; wówczas całe postępowanie zaczyna się od nowa.

Zjawiskiem nagminnym jest **nieprzestrzeganie terminów** rozpatrywania wniosków. Tylko w trzech zakładach, na 18 zbadanych przez Prokuraturę, orzeczenia komisji rozjemczych zapadały w przewidzianym ustawą terminie. W niektórych przedsiębiorstwach budowlanych wnioskom pracowników nie nadano „biegu" przez 5 miesięcy, w wypadkach skrajnych opóźnienia sięgały nawet roku. A przecież szybkość działania miała być w założeniu jedną z podstawowych cech komisji rozjemczych.

### Z JAKIM SKUTKIEM?

W roku 1963 do Zarządu Okręgu Zw. Włókniarzy Łódź-Miasto wpłynęło blisko 2200 skarg pracowników. Instruktorom związkowym udało się **uzyskać zmianę krzywdzącej decyzji dyrekcji w około 70 procentach spraw.** Przy pozostałych 800 skargach w aktach związku figurują adnotacje: wynik interwencji negatywny.

Trudno nam dociec, w ilu z tych wypadków pracownicy rzeczywiście nie mieli racji i stąd nie można było nic wskórać, w ilu zaś zadecydował nieuzasadniony upór dyrekcji przedsiębiorstwa, które nie chciały uznać słusznych interesów pracowników i stającej w ich obronie instancji związku zawodowego.

Zasadą stosowaną przez komisje rozjemcze jest, by pracownik wykorzystał najpierw możliwości interwencji na drodze administracyjnej i związkowej. Jeśli te drogi nie doprowadzą do celu, wówczas wkracza komisja. Widać więc z tego, że przed oblicze komisji rozjemczych trafiają sprawy kłopotliwe i skomplikowane, których trud załatwienia podejmowano już wcześniej, jednak bez skutku.

**Mimo to, jak można się dowiedzieć ze statystyki Zw. Włókniarzy, na 214 spraw rozpatrywanych przez komisje w 1963 roku, w 144 zapadły orzeczenia korzystne dla pracowników. A przecież wiele z tych spraw, zanim komisje do nich się zabrały, robiło wrażenie „beznadziejnych".**

Tu należy zapytać, jak to się dzieje, że dyrekcja, której reprezentanci stanowią połowę składu komisji, dopuszcza do orzeczenia na korzyść pracownika, choć wcześniej nie chciała przecież jego racji uwzględnić? Ujął tę kwestię lapidarnie i celnie jeden z moich rozmówców, p. Henryk Kaźmierczak — przewodniczący komisji rozjemczej ZPB im. Marchlewskiego: „Nie spotkałem się z wypadkiem, by w czasie rozprawy ktoś z członków komisji bronił interesów pracownika, a ktoś inny — pracodawcy. Do głosu dochodzi prawo i ono decyduje".

Również w czasie kontroli Prokuratury **nie stwierdzono,** by dyrekcje zakładów usiłowały wpływać na orzeczenia komisji. Coś takiego zaobserwowano tylko w jednym przypadku. Mianowicie w Łódzkim Przedsiębiorstwie Instalacyjno-Budowlanym, na wniosku Bogdana G. figurowały adnotacje działu kadr i radcy prawnego „urlop nie należy się, gdyż stosunek pracy został rozwiązany z winy pracownika". Źródłem uchybienia była jednak inicjatywa samego przewodniczącego komisji, a nie dyrekcji zakładu.

**Można więc z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że komisje rozjemcze potrafiły sobie zapewnić niezawisłość i samodzielność.** Inaczej zresztą nie mogłyby zanotować tylu sukcesów na polu obrony interesów ludzi pracy.

### KWESTIA AUTORYTETU

Czy komisje rozjemcze cieszą się autorytetem, na jaki zasługują z uwagi na swą rolę i wyniki uzyskiwane w codziennej praktyce?

Trudno udzielić odpowiedzi jednoznacznej. Zbierając materiał do tego artykułu, spotykałem się z opiniami krańcowo różnymi — od całkowitej negacji do aprobaty bez zastrzeżeń. Ogólnie można stwierdzić, że w pojęciu opinii publicznej komisje rozjemcze są czymś „mniej ważnym" niż sądy. Co wpływa na ukształtowanie się takiego poglądu?

Decydują tu chyba następujące czynniki:

- Po pierwsze — uchybienia, na które wskazywaliśmy, popełnione przez niektóre tylko komisje, a niesłusznie uogólniane.
- Po drugie — niewłaściwy często stosunek dyrekcji zakładów pracy do orzeczeń ferowanych przez komisje.

Nad tą drugą sprawą warto chwilę się zatrzymać. **Otóż dyrekcje na ogół nie uznają najbardziej nawet oczywistych werdyktów komisji, z reguły odwołują się do zarządu głównego związku, a jeśli i ten utrzyma orzeczenie w mocy — kierują prośby o rewizję nadzwyczajną do Prokuratury Generalnej.** Jeden z zakładów w roku ubiegłym złożył odwołania we wszystkich trzech sprawach, w których orzeczenia zapadły na korzyść pracowników i w żadnym wypadku orzeczeń tych nie udało się dyrekcji podważyć.

Odwołania te — jak można wnioskować — mają więc **charakter czysto prestiżowy.** Przecież sprawa była omawiana w dyrekcji i załatwiona „odmownie", zanim trafiła na wokandę rozjemczą. Jakże więc teraz nie wykorzystać wszystkich środków, by postawić na swoim? Po drugie — w wypadkach, gdy chodzi o pieniądze — istnieje obawa przed zarzutem ze strony aparatu kontroli, że nie zrobiono wszystkiego, by zakład nie poniósł dodatkowych kosztów. Zarzuty takie spotyka się w praktyce i z punktu widzenia niezawisłości komisji rozjemczych należy je uznać co najmniej za niewskazane.

Autorytet komisji rozjemczych często bywa narażany na szwank także i przez to, **że dyrekcje lekceważą prawomocne orzeczenia i nie chcą się im podporządkować.** Wypadek to bynajmniej nie odosobniony, kiedy pracownik, mając w ręku orzeczenie, przyznające mu zapłatę za godziny nadliczbowe, musi dochodzić swoich pieniędzy drogą powtórnych interwencji w związku zawodowym.

* * *

Droga do poprawy stylu pracy i wzrostu autorytetu komisji rozjemczych wiedzie poprzez podnoszenie kwalifikacji ludzi zaangażowanych w tę działalność, ale także — poprzez zwiększenie szacunku dla społecznego wymiaru sprawiedliwości ze strony dyrekcji zakładów pracy. Obie te kwestie są równie istotne.

ZYGMUNT FIJAS

# *Z notatnika prowincjusza*

I

Dzień, zdawało się wczoraj, nie będzie taki dorodny, wrzaskliwy. Walcowate, nawisłe chmury przenoszące się z jednej strony nieba na drugą, zapowiadały według meteorologicznej nauki burzę lub wichury. Baranki w ciągu wczorajszego dnia i rozszerzające się wieczorne cumulusy rokowały niechybny zamęt nocny. Ale już od samego rana turkocące wozy i późniejszy okropny jazgot rynku – mimo „pianía kogutów na ziemi", a także innych ludowych złowieszczych prognostyków – rozwiały wszelką wątpliwość: targ przecież musi się udać, skoro się tak hucznie rozpoczął.

Całe miasto czekało udanego targowego dnia jak kania deszczu. Albowiem poprzedni targ nie udał się: deszcze chlupotały przez kilka dni z rzędu, chmur naniosło ze wszystkich stron, a najwięcej znad gór; drogi rozlaziły się jak stare podeszwy; przydrożne bankiety zapadły-skisły w wielodniowej chlapawicy wszystkie obłazy... Ale zaraz – po pierwszej bezchmurnej zorzy wieczornej, po rosie, powiał trwały passat – i cały świat przedmuchany, osuszony, znowu pokazał swe piękne sioje. Rozsiadła się więc fara jak kokosz, z wolna rozsiadły się budy, rozłożyły stragany; rynek rozdął się w rozległym hałasie... Strażnik ratuszny zlazł z wieży i poczłapał na rynek mrucząc: – Targ-targiem, bórg-borgiem, upiję się dzisiaj serdecznie.

Podwinąwszy kapotę jak tanecznica poły fartucha, przytupnął sobie raźno. – Upiję się, upiję jak cztery dziewki!

II

Radość tłumu wysypującego się z cieśni ulic nie jest tylko samą radością pogody, ani samą radością ludzkiego mrowia, przybyłego z odległych bajor – jak świnki na tarło, to przecież także nadzieja na prędki handel.

Toli tutaj będziesz mógł nabyć siekiery i kłódki, i kosę; toli przechodzony gramofon o blaszanej tubie i rzemień; toli sprzedać: serki góralskie – i prosię; toli pstrąga i borówki ze samych szczytów; jej toż tu będzie i „pan Karol" i ujna, i stryjna – z nimi klarnecista weselny w czerwonych portkach; rety! toż tu będzie grał na harmonii ślepy Szczepan – nie ma takiego drugiego grajka na świecie.

W niedzielę, po zorzy bezchmurnej, po pierwszej radosnej rosie, mówiono przez megafony do rynku o znaczeniu narodu polskiego, jego prawie do mocy, do kolonii. Słuchały samochodowego radia nieliczne rozbite gromadki, wreszcie jakiś miejski „Piastowiec" wstrząsnął ramionami, po czym stuknął fajką w obcas: – Wszędzie propaganda! Zawdy psiekrwie wszystko na swoją stronę: ten tu, ta... tam zębami skórę ciągnie... skóra społeczna przecież nie żelazo, nie guma!!! Nie kiełbasa!

Potem w megafonach zatrzeszczała „My, pierwsza brygada", po niej piosenka lotnicza „Każdy lotnik to zalotnik"; słuchały tych wokalno-muzycznych popisów kasztany, szyby zatrzęśnięte; i kasztany, szyby modre, i kasztany milczące.

III

I już sprowadzono na rynek dorodne konie, już i bydło rogate, i świnie tuczone... Niebawem we wrzawę trąbek, piszczałek i indyków wdarło się z gwałtem forte kwiczących ogierów, potem w coraz prędszym crescendo kuźni odezwał się wrzask organów – zapewne na dwóch manuałach uwijał się organista, deptając po pedałach i kiwając się na boki jak cyklista – i skądś, do dziś nie wiadomo skąd, bo tylko jedna chmurka kłębiła się sunąc bokiem miasta jak balon – krótki, suchy piorun palnął w blachy powietrza i rozdarł je z trzaskiem... Ale zapewne tylko tak sobie – dla figlów – było to straszne fortissimo, bo zaraz zza gór wysypały się białe baranki, równe jak rzędy pokosów: znak że pogoda jest i – musi być!

Już od wielu dni okolica czekała na ten dzień... Już od tygodnia zaieżdżały pod ratusz wozy, otaczały go zewsząd jak tabor wojenny forszpanów; karczmy zapełniały się chłopami jak po przeglądzie koni dla wojska, zaś psy wartujące przed jatkami wlepiały oczy w puste haki. – Da, dadda, da dadda, będzie jarmark nie lada – cieszyli się rzeźnicy i karczmarze.

W niedzielę, u władzy, myślano, że gdy megafony zaczną mówić do rynku, to cały jego kwadrat naładuje się wrzawą po szczyty dachów, oklaskom nie będzie końca, ale gdy zegar wyznaczył południe, na środku rynku stał jeden tylko policjant, zastanawiał się, co począć w tej niespołecznej pustce, wielkiej pustce bruku i milczących kasztanów.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy przez rynek przejechał ciężki wóz, przeciął placyk kościelny na sagę, po czym zniknął w uliczce w gruchotaniu po kocich łbach. Jak gruchotaniu gromu w rozlazłej niebios karocy.

Rozgniewany tym rzecznik ładu, podążył przeto za wozem, żeby skarcić woźnicę za „zakłócenie".

Ale zaraz po tym wozie przejechał przez miasto tabor cygańskich wozów, wśród nich jeden wspaniały, świeżo lakierowany – z obrazami świętych, za tym wozem drugi, wyścielony piernatami. Siedziała w nim półleżąc piękna Cyganka, roztaczała wokół siebie przepych swej urody jak księżniczka filmowa, wystawiała rączkę ozdobioną pierścieniami – wszystkie okna rozwarły się, żeby patrzeć na tę nieoczekiwaną zjawę.

IV

Ranek coraz bardziej rozszerzał się i gęstniał. Już nawet w uliczkach rozsiadły się kramy z towarem; niejedna dysząca maciora rozwaliła się na chodniku, żebrząc mglawymi oczami o chłód: weszłaby nawet do piwnicy, gdyby nie powrósło; konie potrząsające forgami listowia weszły w sady dla ochrony przed spiekotą; ich wąsągi zaczęły się tarasić między koszami i worami doprowadzając przekupki do białego gniewu. Aż wreszcie wspaniały ogier karogniady, dreptający w miejscu i parskający pianą, nie wytrzymał: wyrwał się ze stada furmanek – i nie zważając na szkło i gliniaki, pomknął wraz z orczykiem nad rzekę. Baby rynkowe z liśćmi łopianu na głowach nie miały dość słów na tę despetę, na ten rynkowy „iment".

Zdawało się, że wnet ratusz pęknie i rozejdzie się w gruzach. Kasztany wydrą swe korzenie spod bruku, otrzepią je o brzegi chodników i będą chwiać swymi zeschłymi czubami jak Żyd w karczmie żółtą lisówką, wieża rozdziawi gardło jak gruby kanonik; kominy wezmą rolę rogów leśnych, rynny fagotów kozich, piwnice kontrabasów, rozlegnie się nieprzytomna pieśń lata – od bruku po sam szczyt niegęsi – złodziej dobiegł do ogiera, chwycił go za grzywę i przejechał na jego grzbiecie za rzekę.

Więc jakżeż babinie nie wejść do karczmy i nie zalać robaka, skoro pieniądz się nie wróci?

Już wszystko co najpotrzebniejsze załatwione. Jaja, chociaż po trzy grosze, ale sprzedane; cielę poszło pod nóż; co dla dzieci, jak na ten przykład lodyski, lukrecja, bombony – już w węzełku; kosa też dzwoni jak srebro; sól jest.

Więc jakże społeczności wesołej nie dać ujścia?

Byle rataj, wodzący bydło po jarmarkach, spije się jak bela i banuje po gościńcach z gębą rozdartą na oścież... a ty bys miała wracać z gardłem suchym?

V.

Na ławach już porozsiadało się wielmożne towarzystwo: jakiś szewc miejski z laską bukszpanową; jakiś wędrowny klarnecista weselny, powiadają o nim „Mazur", bo ma czerwone portki; dalej – ujna miejska z gębą nadętą, jak burak; strażnik ratuszny z twarzą rozgniecioną; obok niego „sobie-pan" – krawiec: „pan Karol" z babką i dziadkiem, zbiedniałym „na starczej wymowie"... „Pan Karol" za portiera jest, to i na półliterek też pod zastaw da.

Już na stole rozlano w kieliszki skwaśniałe wino – z grzybkami i alunem, żeby w gardle bardziej po nim paliło i głowa bolała – obok wina chleb miejski mięciusi, a taki biały, że nie daje na siebie patrzeć taki światły... Więc jakże w karczmie nie pobanować, skoro życie marne?... Jaki megafon ma się objawić biedocie wiejskiej w cajgowej odzieży, z butami przewieszonymi przez ramię i nogawkami podwiniętymi, żeby manszetów nie obrzapłać? Jaki nowy Prorok ma przemówić, jeśli nie karczmarski?

Przydaje nietrwałości świata nową smutną tonację pogrzeb wiejski przesuwający się w boczne uliczki. Jego nie widać, ale wszyscy przy kramach słyszą ten znajomy przerażający refren. „O, Jeeezu!"

ba, po czym fara zagra na swych spróchniałych organach – jak Jozue za zburzenie Jerycha. – A żwawo, a żwawo – tupnie dzwonnik wesoło. – Da dadda, da dadda, to ci jarmark nie lada!

Zbudzi się wówczas – jeszcze mocniejszy – zapach nafci marchwi; wraz z miejskimi rabarbarami, nacią podniosą się zboża w workach, okopowizna – i zahula rynek w kwiczeniu nierogacizny, turkaniu perliczek, geganiu gęsi, pisku trąbek – ku jeszcze piękniejszej pogodzie, o której tylko... grają muzykanci, ale nic o niej nie mogą powiedzieć bez pomocy instrumentów.

Zdawało się w niedzielę, po zorzy bezchmurnej, po pierwszej rosie, iż o takiej radości potrafią mówić megafony; ludzie uwierzą, iż taka może im być podana. Ale gdy w tubach tak samo zaczęło trzeszczeć i zgrzytać jak wtedy, gdy jajka były po groszu, a potem zaraz wybuchł strajk rolny, to troskę o zachwyt mógł tylko wyrazić policjant zapisujący kary za zakłócenia.

A tymczasem ceny rynkowe spadały na łeb, na szyję.

Na domiar złego jakiś łotrzyk rynkowy – „żeby to, moiściewy, był przynajmniej „renumerowany rafirowany" złodziej miejski albo... cygan... rączęta miał takie maluśkie jakby dopiero co ze szkoły go wyrzucili: albo jakby przez całe życie nic innego nie robił, tylko w sklepie stał za ladą i kradł; albo pisał u dworskiego oficjała i razem z niem oszukiwał na tarze; żeby to był jaki góralski Janosik, co jednemu wziął, drugiemu dał; ale, uczciwszy Najwyższego, wstyd rzec: zwyczajny polamaniec, wsiowy poniter – wsadził mi rękę w zanadrze – tu poszkodowana zaniosła się płaczem, a potem śmiechem – alem mu przynajmniej gębę rozorała do Imienia – na domiar złego jakiś złodziej wsunął jednej z bab rękę za pazuchę i uciekł między kramy z twarzą ociekającą krwią. Przy sposobności zahaczył także o portfel weterynarza.

Weterynarz to jeden z największych „Rockefellerów" powiatu. Toteż wieść o poszkodowaniu go rozeszła się po rynku jak żart kojący.

Zanim ludzie połapali się co, gdzie – i zanim policjant zabrał się do śledczej „rzeczy" – przedtem musiał zapytać o zdrowie swej wsiowej kumy, co się jej ręka „rozwinęła"; a potem – jak się ma wiatraczek nad rzeczką, czy tak samo terkotem straszy szpaki jak ongi, gdy stójkowy pasał

Więc dziadek „na starczej wymowie" chwyta się pod bok, i dawszy drugą rękę nad głowę – i przygiąwszy polonezowo kolano, pieje starczym głosem jak kogucik:

*„A to ci raj, to ci raj*
*z tym jarmarkiem, to ci raj!*

*Schleję się jak kościelny,*
*łbem potoczę przez wyraj".*

Odpowiada mu ujna świecąc oczkami jak tarki:

*„Siędzię baba na karku:*
*Gdzieś banował, człowieku?*
*Zasnę w pustym sąsieku,*
*kiejm się zrył na jarmarku".*

I potem wszyscy kiwając głowami i przechylając się to w tę, to w tę – jakby wiosłowali:

*„Da, dadda, da dadda,*
*to ci wielga parada".*

A po tym wstępie, to już wszystkie piosenki jak się przypomniały: o „zielonej rutce orzeszy", o chłopcu, co stanął z fujareczką za pasem i „jak zaceni psi scekać, to on zacon uciekać", potem o nocy umykającej znad zielonej darni, o Szeli, potem – o ciarachach, co nie może być z nimi zgody, jeśli jaka może być, to tylko wtedy, gdy „słonko przyjdzie latem upić z studni wody"; „Najlepiej z rosą, rosą ciąć trawę kosą"; wreszcie gdy ślepy harmonista Szczepan już chwycił melodię swego szczęśliwego kawalerstwa i ujrzał barwy, których go ongi pozbawił pan dworski, huknąwszy mu przez pomyłkę śrutem między oczy, wtedy strażnik ratuszny, wyrzucając przed siebie nogi jak cyrkówka – i klaszcząc – zaśpiewał weselszą piosenkę: z Miechowskiego:

*„W miechowskiem urzędzie*
*nie było, nie będzie,*
*oj ta dana, takiego hultaja,*
*jaki ze mnie będzie!"*

Wtedy klarnecista „Mazur" nie wytrzymał. Złożywszy instrument i przelawszy go wodą, przedmuchał go – i przebierając prędko palcami, zaczął na nim gulgotać i piskać, aż karczmarz wyjął spod fartucha okrwawione ręce, gdyż przed chwilą szlachtował, i postawił półliterek z polskim orłem na etykietce.

Ku wieczorowi zaś, jakby to hen za oknami nie przeciągał czarny żydowski konduktu, w nim płatne płaczki, obsypujące p wschodniemu głowy popiołem, na przedz konduktu skrzynia o czterech rączkach, w tej skrzyni Natan owinięty w żałobn całun, biedny Natan, co ma brata w Amr ryce, ale nikt z żywych nie zna jego adre su, tylko umarli; ślepy Szczepan odrzuc harmonię i przypomniał sobie piosenk młodości:

*„Stanie beskurcyja,*
*zadudni szybami,*
*jo biydno sirota*
*zaleję się łzami.*
*I tak stoi, i dudni,*
*Moja Maryś łotwórz mi!"*

VI

Rynek zaścielony nacią, nawozem ko skim i bydlęcym z wolna pustoszał. Rozno sił się w cztery strony świata furmanka o dzwoniących podkulkach, nie sprzedany głodnym bydłem ryczącym, półkoszkami drobiem krzyczącym. Na niebie tymczase pokosy obłoczków rozwinęły się w liliow wstęgi, rozchodzące się wolno jak fa bałtyckiej morki – i naraz – jakby dzwon nicy czekali właśnie na tę morkę powie trzną, dzwony zaczęły obwieszczać zgo dnia.

Jeszcze do niedawna ostatnia buda sterc ła nagimi żebrami żerdzi, turkotał wó puszczony bezwładnie przez pijanego kram rza, jeszcze za wozem wlokła się szmat namiotu, ostatni strzęp zwiniętego obor wiska, a już niebo zaczęła powlekać szar węgierek... W niej cieniutki szpic wież ratuszowej zaczął żłobić delikatny suche ryt.

Tu wyżłobił Wielki Wóz, tam Gwiazd Polarną, gdzie indziej Warkocz Bereni gdy to cała powierzchnia rynku zaśnia niebieską iluminacją; w jej lśnieniu pok zały się harcujące psy... Potem zrobiło s jeszcze ciemniej.

Ale po chwili znowu zajaśniały fronty d mów, kilka razy niebo zadrgało blaskie – i tak aż do samej jutrzni noc zabawi ła się wyłączaniem i włączaniem swyc elektrycznych błysków.

VII

Tak skończył się jarmark, jak kończy s wiele hucznych zdarzeń: milczącą, boles pustkę.

Ale za dwa tygodnie znowu będzie targ

Żeby tylko deszcze nie spadły.

TADEUSZ GICGIER

## jabłko rajskie

**Wije się czarny szal**
**oplatający twe ramiona,**
**połyskliwy wąż-kusiciel (czy węże bywają czarne?),**
**który wziął na swe łuski**
**cały blask twojego ciała.**
**Patrzy na mnie uparcie twymi oczami –**
**pierwotną obietnicą**
**niewystygłą od czasu Adama i Ewy –**
**i nagle**
**podaje mi twoją pierś – rajskie jabłko,**
**a ja podnoszę je do ust,**
**spadam w czerwoną ciemność,**
**anioł strącony z ziemi do raju.**

## młynek

**Noszę w głowie młynek,**
**mały lecz pracowity**
**(pytam się: kto z nas nie nosi dziś w głowie młynka?),**
**młynek ma niedużą korbkę**
**umocowaną na wysokości ucha.**

**Gdy młynek zwalnia pęd,**
**kręcę korbką, by przyśpieszyć jego obroty,**
**ach, znów zrobiłem to za gwałtownie,**
**młynek się zaciął,**
**zaciął,**
**zać...**
**Oto skutek niedostatecznych kwalifikacji,**
**jak wykonam teraz ilościowy plan przemiału,**
**by nie wspominać już o jakości...**

* * *

**Wierzyłem, że jesteś domem**
**na dębowej przyciesi,**
**że będę zawsze bezpieczny,**
**kiedy pod dach twój się schronię,**
**i że użyczysz schronienia**
**nie tylko mnie.**

**A tyś jest lichym szałasem,**
**dziurawym koszem z wikliny,**
**w nim płynąc – Mojżesz chybiony –**
**nie tylko nie wyprowadzę**
**nikogo znikąd, lecz sam**
**pójdę na dno.**

# *Nad czym pracują pisarze*

## KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI

Ostatnimi laty wydałem dwie książki: 1) tom beletrystyki pt. „Wywoływanie boga" i 2) następne, nieco zmienione wydanie mych dawnych wspomnień „O mnie i nie o mnie".

Ad 1). Tom beletrystyki „Wywoływanie boga" zawierał tak właśnie zatytułowaną powieść oraz dwa mniejsze opowiadania: „Mors hitlerica" i „Przez wdzięczność". Na poczytność tej książki nie liczyłem, tymczasem rozeszła się ona dość szybko i jest już od dawna wyczerpana. Zachęcony tym powodzeniem, napisałem ostatnio pięć opowieści, które zamierzam wydać pod tytułem „Bez jednej pół tuzina". Są to opowieści: „Neostaroświecka", „Pseudo-finansowa", „Patologo-makabryczna", „Gorszaca" i „Niezwykła". Ogólne motto książki: „Opowieść" — niezniszczalny dorobek ludzkości"; wydaje mi się bowiem, że ten rodzaj twórczości literackiej powstał bardzo wcześnie, już chyba w pierwszych hordach ludzkich, nieomal razem z mową, i że może raczej przeniesie on się kiedyś wraz z człowiekiem na inne planety, niżliby miał zaginąć. Myla się, jak przypuszczam, obecni przeciwnicy twórczości powieściowej.

Ad 2). Poprzedni tom mych wspomnień „O mnie i nie o mnie" spotkał się był z zarzutem, że zanadto rozpisałem się w tej mojej autobiografii o innych, za mało zaś o sobie powiedziałem. Uznając ten zarzut za poniekąd słuszny, postanowiłem się poprawić i kończę właśnie pisać moją następną autobiograficzną książkę, której dałem tytuł: „Wstecz i w głąb. Spojrzenia". Lecz pisząc w niej o moim osobistym życiu, wybieram z niego to przeważnie, co mniej było smutne lub nawet wesołe. Że jednak wobec tego opisuje tu przeżycia swoje bez ładu i składu, na wyrywki, przeto tę książkę moich „Spojrzeń" czytać też można będzie od początku, od końca, ze środka — jak się zdarzy.

## HORACY SAFRIN

Ponieważ w ciągu ostatnich lat ukazało się kilka moich pozycji książkowych, siłą rzeczy pilnie przysłuchiwałem się odgłosom (nie mylić z naszym popularnym tygodnikiem!) zarówno fachowej krytyki, jak i „szerokich kół czytelniczych". Nie narzekam. Były one na ogół pozytywne, acz różnorodne w ocenie tzw. „walorów". Jedni podkreślali z uznaniem moment gawędziarski, drudzy pisali o „żartobliwości", a tylko „Słowo Powszechne" dało mi pełną satysfakcję, nie szczędząc pochwał pod adresem mego bajkopisarstwa, do którego wciąż jeszcze największą przywiązuję wagę. Również prasa izraelska zamieściła szereg pochlebnych recenzji o moich zbiorkach, które różnymi drogami dotarły do Ziemi Świętej.

Muszę przyznać, że powodzenie „Szabasowych świec" było dla mnie samego niespodzianką, ba, zaskoczeniem. Okazało się przy tym, iż popyt na humor żydowski w naszym kraju znacznie przewyższa nikłą podaż wydawniczą. Ale i w Tel-Awiwie książka ta, mimo stosunkowo wyśrubowanej ceny, zniknęła z półek księgarskich w rekordowo szybkim tempie. Więc chociaż nagabują mnie o nią na każdym kroku, pozwolę sobie powtórzyć za G. E. Lessingiem: „Wir wollen weniger gehoben und fleissiger gelesen sein..."

Moje plany? Przygotowałem do druku nowy wybór bajek pt. „Swatanie wielbłąda" oraz dwa zbiorki (w języku polskim i „jiddisz") utworów wierszowanych, poświęconych kpiarzom żydowskim pt. „Na berdyczowskim rynku". Temat ten zyskał ostatnio na popularności dzięki Izaakowi Babelowi (vide „Twórczość") który już w „Konnej Armii" poświęcił słynnemu sowizdrzałowi żydowskiemu taki oto fragment rozmowy z cadykiem czarnobylskim: „Czym Żyd się trudni?" „Przekładam na mowę wiązaną przygody Hersza z Ostropola". „Wielkie to zadanie! Szakal wyje, kiedy głodny, każdemu głupcowi wystarcza głupoty, żeby się frasować, a tylko mędrzec rozdziera śmiechem zasłony bytu..."

Poza tym: gromadzę materiały do drugiego tomu „Szabasowych świec" i zabrałem się na serio do pisania „Gawęd o moim życiu" — najtwardszego orzecha, jaki mi do rozgryzienia pozostał.

# W SPRAWIE TCHÓRZOSTWA

W początkach bieżącego roku ukazała się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego praca zbiorowa Katedry Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Dziedzictwo literackie powstania styczniowego", w której znajduje się rozdział „Proza polska o powstaniu styczniowym w latach 1913—1963" pióra p. Krzysztofa Dunin-Wąsowicza. Autor omawia między innymi moją powieść pt. „Trzystu pod Dobrą". Nie wszczynałem nigdy polemiki z krytykami i recenzentami wychodząc z założenia, że książka sama powinna się obronić przed niesłusznym zarzutem. W omawianym wypadku muszę odstąpić od tej zasady, gdyż sprawa ma nieco szersze znaczenie. Autor „Prozy polskiej" występuje w obronie „białego" dowódcy oddziału, który walczył pod Dobrą, doktora Dworzaczka pisząc: „...krzywdzący osąd przez Rymkiewicza doktora Dworzaczka. Nie był on na pewno wybitnym dowódcą partyzanckim, ale nie był też tchórzem i niedorajdą, jak pokazuje go Rymkiewicz".

Oddajmy głos historykowi. Niech on nas rozsądzi! W drukowanej w „Studiach i materiałach do historii wojskowości" (tom VIII cz. 2 wyd. MON 1962) pracy „Powstanie styczniowe 1863—1864 w powiecie łęczyckim", na której oparłem powieściowy opis przebiegu bitwy pod Dobrą, Henryk Manikowski pisze na str. 181 co następuje: „Niestety, jako dowódca Dworzaczek zawiódł całkowicie... (We wstępnej fazie bitwy) Dworzaczek „gdzieś się zapodział" pozostawiając oddział bez dowództwa, i odnalazł się dopiero wtedy, gdy w szeregach powstańców wszczął się popłoch... uciekł z pola bitwy także sam Dworzaczek... Bitwa rozpoczęła około południa przeciągnęła się do godz. 17, przekształcając się w swej końcowej fazie w formalną rzeź powstańców wypartych z lasu na otwartą polanę i tam do ostatka broniących się z rozpaczliwą zaciekłością".

A więc jak to jest, Panie Redaktorze? Czy o dowódcy, który „zawiódł całkowicie" należy pisać eufemistycznie, że „nie był wybitnym dowódcą", czy raczej należy go nazwać niedorajdą? Czy o dowódcy, który w czasie bitwy „gdzieś się zapodział" pozostawiając oddział bez dowództwa, należy pisać, że „nie był wybitnym dowódcą", czy raczej należy nazwać go tak, jak na to zasługuje? Czy o dowódcy, wreszcie, który przed końcem bitwy „uciekł z pola bitwy" podczas gdy bitwa w swej końcowej fazie (przekształciła się) w formalną rzeź powstańców, wypartych z lasu na otwartą polanę i tam do ostatka broniących się", czy więc o dowódcy, który nie był do ostatka ze swymi broniącymi się na otwartej polanie żołnierzami, nie należy ze wstydem i przykrością powiedzieć, że był tchórzem?

Tak więc, zarzut przeinaczenia faktu historycznego obraca się nie przeciwko mnie, lecz przeciwko autorowi „Prozy polskiej".

Nie poruszałbym tej sprawy, gdyby nie to, że z próbami rehabilitacji doktora Dworzaczka spotykam się nie po raz pierwszy, i zastanawia mnie, komu ze względów prywatnych czy wyższych (?) zależy na tej rehabilitacji? Nie zapominajmy, że za nieudolne dowództwo tchórzliwego doktora powstanie na ziemi łódzkiej zapłaciło klęską pod Dobrą w bitwie, która była do wygrania (str. 181 cyt.), i że kosztowało to 70 zabitych Polaków, tyluż rannych oraz 84 wziętych do niewoli powstańców.

Od kampanii przeciwbrazowniczej, zapoczątkowanej przez Boya-Żeleńskiego, minęło ponad trzydzieści lat. Czy może walka o „białego" doktora, walka podjęta wbrew oczywistości historycznej, to sygnał do nowego brązowania?

**WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ**

## *Łódzcy historycy na 20-lecie PRL*

# ROCZNIK ŁÓDZKI

**Jubileuszowy, dziesiąty powojenny tom „ROCZNIKA ŁÓDZKIEGO" jest poświęcony w całości historii najnowszej miasta i województwa. Ponieważ Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Historycznego w Warszawie jest tylko formalnym „protektorem" pisma, publikacja została zrealizowana dzięki dotacji przydzielonej przez Komitet Łódzki PZPR. Należy podkreślić, że dotychczasowe ambicje historyków łódzkich wydawania czasopisma regionalnego są urzeczywistniane jedynie dzięki finansowemu angażowaniu się władz lokalnych (Komitety PZPR, Rady Narodowe), przy równoczesnym „umyciu rąk" ze strony władz centralnych.**

**OMAWIANY TOM PREZENTUJE BOGATĄ TEMATYKĘ POWOJENNYCH PRZEMIAN, WYSIŁKÓW, OSIĄGNIĘĆ I NIEDOCIĄGNIĘĆ. TEMATYCZNĄ CAŁOŚĆ TWORZĄ CZTERY ARTYKUŁY POŚWIĘCONE ROZWOJOWI I DZIAŁALNOŚCI PPR, PPS, STRONNICTWA LUDOWEGO I STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO.**

**W stosunku do tych prac należy jednakże wysunąć generalny zarzut. Autorzy (N. Kołomejczyk, B. Syzdek, A. Dąbrowski, R. Małecki) zbyt formalistycznie traktują podjęte tematy, w znacznej mierze koncentrując się na zagadnieniach liczebnego rozrostu organizacji partyjnych, ilości zebrań, struktury społecznej itd. Przy tego rodzaju ujęciu pozostaje dla czytelnika niewiadomą rola partii w budowie i odbudowie życia gospodarczo-kulturalnego, pozyskiwanie społeczeństwa dla wysiłków przy przezwyciężaniu powojennych trudności, wzajemna współpraca, która daje w efekcie PRZEZWYCIĘŻENIE ROZBICIA W POLSKIM RUCHU ROBOTNICZYM I UZNANIE KIEROWNICZEJ ROLI PZPR W ŻYCIU POLITYCZNYM POLSKI.**

**M. Kołodziejczak w źródłowej rozprawie przedstawił proces budowy i uruchamiania aparatu administracyjnego w pierwszych dniach, tygodniach i miesiącach po wyzwoleniu. Wysiłek ludzi owych czasów w znacznej mierze już ulega zapomnieniu, a przecież w ciągu niespełna trzech miesięcy nie tylko stworzono organy administracyjne szczebli wojewódzkiego, powiatowego i gminnego, ale „młoda władza" potrafiła w tymże czasie zabezpieczyć mienie opuszczone, przeprowadzić reformę rolną i akcję siewną, osiedlić i dać zatrudnienie znacznej liczbie repatriantów.**

**Autor nie ogranicza się tylko do eksponowania niewątpliwych osiągnięć owych dni, lecz pisze i o trudnościach, wskazuje na bolączki, jakimi była panosząca się biurokracja, lekceważenie obowiązków, „sobiepaństwo" wielu urzędników, konflikty wynikające z braku rozgraniczenia kompetencji poszczególnych urzędów i instytucji.**

**Przebieg reformy rolnej na terenie województwa zobrazował W. Góra, autor kilku prac dotyczących reformy rolnej w Polsce. Gruntowna znajomość materiałów w skali nie tylko naszego województwa, ale i całego kraju, pozwoliła mu na porównawcze potraktowanie tematu. Równocześnie należy zaznaczyć, że Góra przedstawia czytelnikowi tylko starannie wyselekcjonowane materiały statystyczne. Dzięki temu artykuł „daje się" czytać.**

**Problematyka oświatowo-kulturalna znajduje odbicie w trzech pracach: G. Missalowej — Odbudowa szkolnictwa w Łodzi w latach 1945—1947; K. Śreniowskiej — Rola „Kuźnicy" i „Myśli Współczesnej" w polskiej rewolucji kulturalnej w latach 1945—1949 i S. Wojtkowiaka — Wojskowe szkolnictwo medyczne w latach 1945—1950.**

**Jubileuszowy (przecież dziesiąty tom) charakter „Rocznika" podkreśla obszerna bibliografia tematyczna sporządzona przez R. Rosina. Pozwala ona Czytelnikowi prześledzić, jak z roku na rok rozszerzał się w piśmie wachlarz tematów, zagadnień i autorów zajmujących się problematyką regionalną. Tenże charakter posiada raczej artykuł, aniżeli sprawozdanie, ilustrujący dwudziestolecie prac Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, napisany przez obecnego prezesa doc. Zofię Libiszowską.**

**W dziale recenzji omówiono prace: S. Banasiaka, Z. Hrabara, W. Michowicza, „Roczniki dziejów ruchu ludowego", a także 1 almanach literacki „Osnowę" oraz publikację zbiorową „Łódź w latach 1945—1965". Wydaje się, że „wachlarz tematyczny" recenzji należy ze względu na regionalny charakter pisma zawęzić do książek związanych z Łodzią, bądź do prac autorów łódzkich. Jest to tym bardziej wskazane, gdyż szereg ciekawych pozycji o tematyce lokalnej nie znajduje odbicia na łamach „Rocznika".**

**Ostatnio daje się zaobserwować rosnącą poczytność łódzkiego pisma historycznego. Jest ono wykorzystywane przez nauczycieli w szkole, kupowane przez miłośników historii naszego miasta i województwa. Nakład tomu jubileuszowego wynosi 4.900 egzemplarzy. Oby ta liczba mogła figurować i w następnych tomach.**

**WŁADYSŁAW BORTNOWSKI**

## PÓŁKA z książkami

### „HEYDENREICH"

Nie trzeba być specjalnie pilnym czytelnikiem książek Jarosława Iwaszkiewicza, by zauważyć specyfikę jego prozy, polegającą na silnym powiązaniu bohaterów z ziemią, krajobrazem. Cecha ta wyróżnia pisarstwo Iwaszkiewicza w naszej literaturze, nadaje mu odrębny niepowtarzalny ton. W tym właśnie dopatruję się silnych związków prozy Jarosława Iwaszkiewicza z tradycją literatury narodowej. Zresztą nie jedyny to związek, ale znaczący.

„Heydenreich" to opowiadanie o oficerze, który pochodził z rodziny niemieckiej, był żołnierzem armii carskiej, wreszcie dowódcą oddziału powstańczego w 1863 roku. Zresztą to jedna warstwa opowiadania. Występują tu różne postacie — młody szlachcic polski — oficer carski, kozacy, chłopi, a nawet robotnicy polscy. W epizodzie stanowiącym tło akcji, mówiącym niezbyt wiele, o jednej z mniej ważnych bitew powstańczych, Iwaszkiewicz ukazał tragedię podbitego narodu, tkwiącego w kręgu obłędnych przesądów i niesprawiedliwości społecznej. Autor pokazuje to poprzez płątawisko losów i tragizm występujących tu postaci, reprezentujących różne warstwy społeczne mające własny punkt widzenia na porządek społeczny i własny stosunek do władzy carskiej. Powstanie styczniowe to już historia, nie żyje ani jeden świadek tamtej tragedii, a opowiadanie czyta się jednak, jakby wydarzenia miały miejsce wczoraj. Wrażenie pogłębiają kapitalne opisy znanych krajobrazów.

„Cienie" to opowiadanie współczesne, osadzone jednak w przeszłości, tej ukraińskiej, do której autor lubi wracać. Najbardziej wybredny koneser znajdzie tu dla siebie, czego oczekuje od współczesnego pisarza. Jest więc kunsztowne w formie, mówi o skomplikowanych problemach moralnych. Mnie osobiście zainteresowało coś jeszcze. — Mianowicie pamięć szczegółu, krajobrazy i klimat tamtego czasu. Nie byłem na Ukrainie, nie pamiętam czasów rewolucji, ale znam trochę książki Jarosława Iwaszkiewicza, w których wyczytałem niejedno o tamtych miejscach i tamtym czasie. W „Cieniach" doszukałem się dalekich echa młodzieńczej książki tego autora „Zenobii Palmury". Nawet imiona powtarzają się. I książka ta dziwnym zbiegiem okoliczności została wydana w tym samym mieście — prawie pół wieku temu. I tu uwaga: Jarosław Iwaszkiewicz został wierny sobie, temu który zaczynał tworzyć literaturę — mimo zmian i lat, jakie go dzielą od momentu startu.

**JHW**

**Jarosław Iwaszkiewicz „Heydenreich". Wyd. Poznańskie, Poznań, 1964, str. 170, cena 10 zł.**

### JUGOSŁOWIAŃSKIE POSZUKIWANIA

Cztery opowiadania Juliana Stryjkowskiego zawarte w tomie pt. „IMIĘ WŁASNE" *) są przebarwione kolorytem Adriatyku. „Rzecz" opowiadań dzieje się bowiem w Jugosławii, skąd już tylko krok do włoskiego nieba i włoskiej scenerii.

Zdawałoby się, że klucz do tych opowiadań leży gdzieś wśród opatyjskich i dubrownickich skał, że jedność — z całą bądź co bądź dla nas egzotyką — miejsca stanowi ta nieco pretensjonalna okoliczność okolicy. Oczywiście zniewalająca magia formy i tu wycisnęła swe twarde piętno, odsuwając, jakby na drugi plan, sprawy większe i głębsze, które autora „Biegu do Fragala" nurtują przez niemal cały jego bieg pisarski.

Tak więc nawet tam, tam nie ma ucieczki! Kotwicy obsesji zarzuconej w kraju nie da się zerwać w ojczyźnie Ivo Andrića.

Stryjkowski nawet nie usiłuje zbyt skrzętnie ukrywać tego, co go boli, podnieca, a może i inspiruje. Za kulisami czai się czerń okupacji. Sprawy bolesne zawleczone nad Adriatyk, gryzą równie głęboko i tam i tu.

„Głosy w ciemności" niekiedy wołają w jarzącym świetle południa. Stryjkowski słyszy je dobrze i przyprawia nimi „lazurowe" wybrzeża jak piołunem. Jego filozoficzny czas jest czasem ludzkich spotkań, niewiarygodnych w kategoriach typowości utartej. Nie o to chodzi jednak autorowi. Te spotkania, poszukiwania, mijania (z pozorną ignorancją czasu biologicznego) sprzęgają przeszłość z teraźniejszością — wybiegają nawet w gorzką zadumę nad wątłym owocowaniem naszych dobrych chęci i koniecznością życia w mijaniu...

Zatem wydaje się, że wspólną cechą tych opowiadań jest spokojny sceptycyzm człowieka, który dużo wiedział i rozumie jak trudno jest wszystko pojąć.

**R. Ł.**

***) Julian Stryjkowski: „IMIĘ WŁASNE" — Opowiadania, Czytelnik, 1964, str. 153.**

### KSIĄŻKI NADESŁANE:

Adam Grzymała-Siedlecki — **„NIEPOSPOLICI LUDZIE W DNIU SWOIM POWSZEDNIM"**, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Jerzy Lowell — **„START DO ZIEMI LUDZKIEJ"**, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Stanisław Eile — **„LEGENDA ŻEROMSKIEGO"**, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Tadeusz Kwiatkowski — **„POMNIK NA MIARĘ"**, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Jalu Kurek — **„MÓJ KRAKÓW"**, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Franciszek Rene Chateaubriand — **„RENE"**. Zakł. Narod. im. Ossolińskich.

Wojciech Bogusławski — **„HENRYK VI NA ŁOWACH"**, Zakł. Narod. im. Ossolińskich.

Tadeusz Dobrowolski — **„SZTUKA KRAKOWA"**, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

**POLONIA TYPOGRAPHICA** — Zbiór podobizn zasobu drukarskiego tłoczni polskich XVI stulecia, Zakł. Narod. im. Ossolińskich.

MARIA KORNATOWSKA

# LAMENT KRYTYKI...

FILM

Cała nasza prasa filmowa i kulturalna (co nie oznacza oczywiście, żeby filmowa miała być niekulturalną!) rozbrzmiewa lamentem nad stanem rodzimej twórczości kinematograficznej. Krytycy na wyprzódki wyrywają sobie włosy z głów i ubolewają, ubolewają, ubolewają... Wiadomo naród nasz skłonny do lamentów i rwania włosów z głowy (o ilę tylko ma co rwać!). Nic więc w tym zjawisku sprzecznego ani z charakterem narodowym ani z faktycznym stanem rzeczy, bo jak skądinąd można zauważyć, poziom polskich filmów daleki jest od wymarzonego ideału. Sprzeczność natomiast, wzbudzić mogąca niejakie zdziwienie nie przygotowanego i skorego do pochopnych wniosków obywatela tkwi zupełnie gdzie indziej. A mianowicie w rozbieżności między minorową tonacją tzw. wypowiedzi ogólnych (nie mylić z ogólnikowymi!) a niespodziewanie entuzjastycznym zachłystywaniem się niektórymi co „wybitniejszymi" osiągnięciami X Muzy made in Poland. Radiowy zespół Dziewiątka zauważył nie bez melancholii, że ostatnio zrealizowano w Polsce szereg filmów użytecznych społecznie. W związku z tym niektórzy przezorni recenzenci starają się ich nie oglądać, by móc potem z czystym sumieniem pisać pozytywne recenzje.

**Obawiam się, że diagnoza postawiona przez satyryków Dziewiątki jest zupełnie słuszna. Potwierdza ją, niestety, bogata praktyka recenzencka. Z lektury bowiem różnych recenzji wynika jasno (ku zdumieniu czytelnika!), iż właściwie nasza produkcja obfituje, rzec można, niemal w arcydzieła, a przynajmniej dzieła wybitne, epokowe, rewelacyjne. Trudno tedy dociec dlaczego wszyscy tak lamentują przy innych okazjach na temat tego nieszczęsnego polskiego filmu. Gdzie tu sens, gdzie logika?**

Biorąc zaś rzecz poważnie, należałoby się zastanowić nad kryteriami, jakimi kierują się wszyscy chwaląc rozmaite dzieła, które wcale chwały nam nie przysparzają. Użyteczność społeczna — podpowiada radiowa Dziewiątka. Tak, oczywiście rozumiana, niestety, dosyć jednokierunkowo a często i opacznie. Ale nie tylko. Sięgnijmy po przykłady.

**„Koniec naszego świata"** — film z całą pewnością użyteczny społecznie, bardzo na czasie, aktualny politycznie. Ale zarazem film niedobry, płytki, powierzchowny. W porównaniu z taką choćby „Pasażerką" operujący banałem, stereotypowymi sytuacjami i postaciami, nie wzbogacający naszej wiedzy o kondycji ludzkiej w obozach śmierci. Rażąca jest także rama filmu. Czy „Koniec naszego świata" został rzetelnie przeanalizowany i oceniony? Nie! Temat przysłonił obiektywną wartość dzieła. Krytycy zajęli się rozważaniem problemu, podkreślaniem jego znaczenia, często niezależnie od tego, co rzeczywiście zostało pokazane na ekranie. Czyżby nikt nie pomyślał o tym, że intelektualna i artystyczna zawartość filmu ogranicza mimo całej wagi i aktualności problemu, jego społeczną i polityczną użyteczność. O ileż więcej mówi o Oświęcimiu i o epoce pieców w ogóle, niemal kameralna i niedokończona przecież **„Pasażerka"**, niż monumentalny i patetyczny film Jakubowskiej. Idźmy dalej. **„Pierwszy dzień wolności"** — też film z problemem.

**Ale w tym przypadku nie tylko problem przesłonił obiektywną wartość filmu. Także dwa sztandarowe nazwiska: Kruczkowskiego i Forda. Kto ośmieli się skrytykować tak podpisane dzieło? Kto ośmieli się godzić w przyjęte i uznane autorytety? Kto zauważy, że film jest anachroniczny w swym myszką trącącym ekspresjonizmie i taniej symbolice, że gubi po drodze intelektualną i polemiczną zawartość sztuki Kruczkowskiego?**

Nie chcąc nikogo urazić krytycy znów zajęli się roztrząsaniem problemu in abstracto, demonstrując w miarę możliwości swe oczytanie w Sartrze, Kruczkowskim i paru innych autorach. Takim sposobem film sobie a recenzent sobie. Tworzy można by powiedzieć drugie, z pewnością doskonalsze dzieło. Ponadto ćwiczy się w sztuce formułowania wymijających odpowiedzi, pokrywając frazeologią (typu: humanizm, ludzkie wartości, odkrywczość problematyki, bogactwo perspektyw itd.) brak rzeczowej, obiektywnej analizy, na jaką każde nawet najbardziej „problemowe" i najbardziej „sztandarowe" dzieło przecież zasługuje.

**Dla mnie osobiście film Forda znakomicie nadaje się na eksport do NRF. Szlachetność Niemców przekracza tu chyba ich własne o sobie wyobrażenia i nawet postać „upartego" esesmana, z wyraźną niechęcią traktowanego zresztą przez familię Ingi, nie może zepsuć tego sielankowego obrazka porządnej, niemieckiej rodziny. Zmieniając sens postaci Ingi, wprowadzając „złego" esesmana, Ford poszedł po linii bardzo charakterystycznej dla naszego filmu, po linii stopniowania, zaokrąglania wszelkich konfliktów, po linii wszystko przenikającego, wszystko przeżerającego konformizmu.**

Znakomitą tego konformizmu ilustracją jest inne epokowe dzieło (a przynajmniej za takie uznane) naszej kinematografii a mianowicie **„Drewniany różaniec"**. Z okazji tego filmu odezwały się nawet sporadyczne głosy dezaprobaty (m. in. Kałużyński, Olesiewicz). Zastanawiano się, zupełnie słusznie, po co i dla kogo zrealizowano ten film oparty w dodatku na bardzo miernym artystycznie tekście. Ale chór żarliwych krytyków, z dużą wprawą (ma się już tę długoletnia rutynę!) podjął problem, dostrzegł walkę idei, światopoglądów i Bóg wie co jeszcze. W tym aspekcie można określić nasza krytykę mianem twórczej. Tworzy to, czego nie ma na ekranie, co się ani scenarzyście, ani reżyserowi nawet nie śniło. Z okazji „Drewnianego różańca" dawano do zrozumienia, że niby to jest to, ale w gruncie rzeczy to zupełnie co innego, to ho, ho! Jeden z krytyków porównał nawet film Petelskich, film co lęka się własnego cienia z „Los Olvidados" Bunuela, że niby taki drapieżny, brutalny, okrutny. Miejmy nadzieję, że opinia ta nie dotarła do wielkiego buntownika, bo jeszcze gotów byłby swe następne dzieło, być może znów zakończone gromem, poświęcić naszej krytyce.

**Te przykłady można by mnożyć. Można by jeszcze dorzucić wiele innych tytułów. Chociażby „Beatę", którą chwali się za autentyzm (rzeczywiście autentyczny dworzec Śródmieście i parę znanych „środowiskowych lokali!) i znów za problem, choć jako żywo ujęcie tego problemu nie odbiega wiele od tkliwych powieści pani Czarskiej lub Zarzyckiej. „Beata" a „Dzikuska", piękny temat pracy dla przyszłego magistra filmologii polskiej.**

Żarty żartami, a sprawa jest w gruncie rzeczy smutna i to bardzo. Do truizmów należy twierdzenie, że przedmiotem krytyki filmowej jest dzieło filmowe rozpatrywane w swych wielorakich aspektach. Roztrząsanie problemu poruszanego przez film, niezależnie od wagi tegoż problemu, może być czynione wyłącznie w oparciu o to, co zostało rzeczywiście pokazane przez twórcę. Ujemna ocena wartości dzieła filmowego nie godzi w rangę problemu, tak jak i pozytywna też nic problemowi nie pomoże. Krytyka „mitotwórcza", mimo że bardzo wygodna i rzeczywiście zwalniająca od przykrej konieczności oglądania niektórych płodów X Muzy, nie przynosi pożytku naszej kinematografii. Dlaczego mamy stosować taryfę ulgową wobec pewnych filmów z uwagi na aktualną sytuację polityczną, zasługi autorów i jeszcze parę innych rzeczy. Zadaniem krytyka jest m. in. stworzenie właściwego klimatu dla twórczości. Nie można mówić o odważnej, nonkonformistycznej sztuce, bez odważnej, uczciwej krytyki. Ogólnikowe lamenty wcale nie ratują sytuacji, jeśli idą w parze z jednoczesnym chwaleniem tego co stanowi o słabości naszego filmu. A jedną z podstawowych jego słabości jest brak odwagi, brak ostrości w stawianiu konfliktów i problemów, mówienie półgębkiem. Analizując poszczególne dzieła krytyka prześlizguje się nad tym, co najwyżej operując dosyć dziwnym systemem niedopowiedzeń i aluzji, usiłując dać do zrozumienia tonem wtajemniczonym, że coś tam autor chciał powiedzieć, choć jako żywo nikt nie słyszał co też on mówił.

Prawdziwie wartościowa krytyka nie powinna być terenem zręcznego lawirowania, taktycznych posunięć i strategicznych operacji. Postawa krytyki winna chyba w jakiejś mierze stymulować postawę twórcy. Kto wie, może wówczas gdy krytyka wyrwie się z zaczarowanego kręgu rozmaitych tabu, to i film podąży jej śladem. Brzmi to dosyć, trzeba przyznać, rzewnie i wzruszająco, ale przecież mamy prawo żywić nadzieję, że kiedyś i u nas powstaną dzieła miary **„Rąk nad miastem"** lub **„Oskarżonego"**. Czyż mamy być wiekuiście skazani na oglądanie filmów, w których jak ktoś zrobi krok naprzód, to zaraz cofa się trzy do tyłu, filmów, w których ilustracyjność, stereotypowość myślenia, konformizm i zaściankowa pretensjonalność łączą się ze sobą w jedność niemal doskonałą.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

# HIROSZIMA w MINIATURZE

Odpowiedzialność za nieudolną adaptację sceniczną korespondencji, zawartej w około siedemdziesięciu listach wymienionych pomiędzy lotnikiem znad Hiroszimy Claude Eatherlym a naukowcem wiedeńskim Güntherem Andersem, ponosi Tadeusz Malak. Przeróbki scenicznej dokonano ze zbioru listów, zamieszczonych w książce „No more Hiroshima" (Wydawnictwo „Książka i Wiedza").

Znacznie chyba starszy od Eatherly'ego uczony austriacki Anders, człowiek doświadczony i poważny, który jak wynika z korespondencji, z niejednego pieca chleb jadał i mieszkał (co tutaj nie jest bez znaczenia) w pobliżu „fabryki złudzeń", Hollywoodu, ostrzegał swego młodego amerykańskiego przyjaciela przed lekkomyślnym podpisaniem umowy na scenariusz filmowy o charakterze autobiograficznym. Wiedząc, że hollywoodzkich producentów filmowych cechuje absolutny brak zasad, Anders nie bez słuszności wyrażał obawę, że szlachetne uczucia, postawa moralna, biografia Eatherly'ego mogłyby zostać sfałszowane ze szkodą dla powagi najważniejszej sprawy, za jaką uważał walkę o pokój.

Niestety, obawy Andersa okazały się uzasadnione nie tylko odnośnie amerykańskich producentów filmowych, lecz również — wobec ambitnych a niekompetentnych twórców przeróbek scenicznych.

W nieudanej adaptacji teatralnej straszne ostrzeżenie, ciężkie wyrzuty sumienia lotnika, który dał sygnał do zrzucenia bomby uśmiercającej dwieście tysięcy ludzi, zniszczenia miasta, apokalipsa przyszłości czekającej ludzkość — wszystko to zostało sprowadzone do prywatnych kłopotów amerykańskiego majora lotnictwa. Trzeba przeczytać całą korespondencję, żeby móc ocenić znaczenie dramatu osobistego Eatherly'ego i wymiar przeżyć obu korespondujących ze sobą mężczyzn. W adaptacji scenicznej wszystko to zostało rozmienione na drobną monetę.

Odniosłem również wrażenie, że autor adaptacji (a może — reżyser?) pragnął za wszelką cenę uratować przestarzałe wyobrażenia o Ameryce jako o klasycznym „kraju wolności". Dlaczego, na przykład, opuszczono jeden z najbardziej zasadniczych (54) listów amerykańskiego lotnika, w którym Eatherly pisze (str. 121):

*„Zapewne wiesz o tym, że mówienie, jak i pisanie nie jest w tym kraju popularne, i że oni uważają mnie za przeszkodę w dążeniu do ich celów. Przykro mi, że mój kraj zajmuje takie stanowisko, ale przyrzekam Ci, że nie przestanę nigdy używać swego nazwiska i wpływu, by przeciwdziałać temu strasznemu ostatecznemu celowi, do którego dążą władze wojskowe w naszym kraju".*

Dlaczego pominięto korespondencję z kierownikiem Wydziału Prawa Cywilnego w Ministerstwie Sprawiedliwości na temat aresztowania Eatherly'ego i finezyjne a zarazem perfidne uzasadnienie stanowiska władz, co do legalności przytrzymywania Eatherly'ego w okresie jego „dobrowolnej" i „niedobrowolnej" kuracji.

Spektakl trwa godzinę bez przerwy. Reżyser liczył się prawdopodobnie z trudnościami odbioru przez słuchaczy tekstu na pograniczu publicystyki. Obawa chyba niesłuszna, gdyż publicystyka to pasjonująca. Nasuwa się wątpliwość, czy nie słuszniej byłoby — poszerzyć temat i przedstawić widzowi inscenizację historycznej już korespondencji w dwóch fragmentach z jakimś wyjaśniającym zakończeniem? Ci, którzy nie czytali „No more Hiroshima", mogą nie wiedzieć, że władze amerykańskie pod presją opinii światowej zaniechały w końcu ścigania Eatherly'ego po jego ostatniej ucieczce ze szpitala.

Mam również pretensję do reżyserii o brak zdecydowania. Należało wybrać — albo prostą recytację tekstu, albo inscenizację z uwzględnieniem ważnych szczegółów. Wybrano drugie bez zaznaczenia, na przykład, różnicy lat dzielącej obu korespondentów. Günther Anders jest znacznie starszy od Eatherly'ego i podkreślenie tego szczegółu mogło mieć znaczenie dla całości spektaklu. Skonkretyzowanie dramatycznej korespondencji podniosłoby walor widowiska tym bardziej, że z listów przebija niemal zazdrość starego człowieka o „jego ukochane dzieło" — walkę o pokój; stąd ciągłe, niekiedy nawet denerwujące czytelnika, upominania i przestrogi dla młodego nierozważnego majora lotnictwa. Jeżeli reżyser chciał uniknąć charakteryzacji, to można wszak było wybrać do roli uczonego wiedeńskiego aktora starszego wiekiem.

Doskonały zawsze Jan Zdrojewski nie czuł się dobrze w postaci starego uczonego; był po prostu za młody. Dopiero pod koniec dialogu, jak gdyby porwany tempem zdarzeń i dyskusji, osiągnął swój zwykły wysoki poziom aktorstwa. Natomiast Machulski w roli młodego nieszczęśliwego majora zademonstrował od początku do końca wysoką klasę gry, podkreślając umiejętnie świeżość uczuć trochę prymitywnego Amerykanina, świeżość graniczącą z naiwnością wobec skomplikowanych zagadnień o skali światowej.

Pomimo tych zastrzeżeń uważam, że warto posłuchać dialogu o kryzysie duchowym, przeżywanym przez majora Air Force.

# *Szanowny Panie Redaktorze!*

*To było jeszcze w tym czasie, gdy administrator próbował ze mnie zrobić człowieka. Przyszedł do pracowni pod jakimś pozorem i z miejsca: „Jaką pan masz podłogę? Pełno brudu i paprochów, jak panu nie wstyd? Nie zasługujesz pan na taki parkiet!".*

*Na moje nieśmiałe „Ależ panie, to przecież pracownia i..." — administrator gwałtownie mi przerywa i grzmi: „Pracownia? — to co z tego? Zobacz pan, jaki parkiet ma pani Kowalska. I też pracownia". Bardzo był zgorszony i zakończył: „W moim rejonie są tylko dwa takie mieszkania — Wesołowskiego i pańskie".*

*Zaintrygowany słowami administratora odwiedziłem w najbliższą niedzielę pana Wesołowskiego. O 11-tej dzwonię. Po dłuższej chwili uchylają się skąpo drzwi, wygląda poczciwa, zaaferowana twarz. Na mój widok rozpromienia się uśmiechem, coś tam niespokojnie poprawia na piersiach i zaprasza do środka.*

*Wesołowski jest nie ubrany, rozchełstany na piersiach; z gałek zwisają jakieś sznurki.*

*Chcę szybko uciec, ale gospodarz jest gościnny i nie puszcza mnie. Sadza mnie na brzeżku tapczanu, potem zgania, przegania z kąta w kąt. To wszystko z nadmiaru gościnności. Nie wie, jak mnie usatysfakcjonować. Zaprasza: „Może śliweczek, może gruszeczek?".*

*Śliweczki, gruszeczki, jabłuszka leżą sobie w gazetach, chusteczkach, różnych papierach, grupkami, pojedynczo, częściowo poobierane, częściowo nie, w pościeli, na podłodze, na szafie, na parapecie.*

*Na podłodze okrągłe, ciemne plamy. Co to może być? (Czyżby Wesołowski malował olejno?). Pod ścianami talerze z resztkami chleba, skórki z wędliny, masło, dżem; w kącie cukiernica z rozsypanym wokoło cukrem.*

*Wśród tego poniewierają się książki, pozakładane łyżeczkami; — jedna widelcem.*

*Na tapczanie skotłowana pościel. W załamaniach odsłoniętego prześcieradła mnóstwo suchych okruchów chleba, czy bułki; sterty gazet pod poduszką i w poszwie kołdry — kołdra zwisa skosem na podłogę. Na krześle rzucone ubranie; szelki opuszczają się do butów, które przewrócone leżą jeden nosem a drugi piętą do widza.*

*Na klamce krawat, a muszka przyczepiona do framugi okiennej. Półotwarte drzwi szafy ukazują — czort wie, co ukazują, bo nie sposób rozeznać się w tym przedsiębiorstwie. Na ścianach pełno obrazków małych i dużych — za ramy ponatykano jakieś kwity, papierki czy bilety. Jedynie sufit jest wolny, ale i tu na lampie wisi skarpetka.*

*Pan domu jest bardzo gościnny, krząta się żywo, mruży w uśmiechu oczy i zaprasza — bez przerwy zaprasza. Kochany Wesołowski! Jest tak uradowany odwiedzinami, że nie ma czasu się ubrać i biega po pokoju, a ja z nim (o ile to jeszcze możliwe).*

*W końcu dostrzega uchylone drzwi, szybko je zatrzaskuje i przepraszająco się tłumaczy: „Do kuchni pana nie zapraszam, bo tam trochę nieporządku".*

WACŁAW KONDEK

Wacław Kondek. Rzeźba

IRENA BOŁTUĆ-STASZEWSKA

ANDRZEJ HAUSBRANDT

# MIŁOŚĆ bez wzajemności

Kilka miesięcy temu „Polityka" zamieściła stenogram z przeprowadzonej w Pradze polsko-czeskiej dyskusji na temat wzajemnych stereotypów pojęciowych. W ogromnym skrócie wyglądało to w ten sposób: Polacy uważają Czechów za „szwejków". Czesi nas za „hrabiów". Ale jak powiadają starożytni „tempora mutantur et nos mutamur in illis", czyli zmieniają się czasy i my wraz z nimi. Trudno powiedzieć, czy proces ten przebiega tak prędko, czy też nasze wrażenia były tak odmienne, ale odwiedzając zeszłoroczną jesienią Pragę odnaleźliśmy tam sporo innych stereotypów pojęciowych na temat Polski i Polaków. Sami zresztą mieliśmy możność dokonać konfrontacji naszych poglądów na Czechów i Słowaków z żywymi Czechami i Słowakami. Wszystkie te obserwacje skłoniły nas do pewnych wniosków i uogólnień, które wydają się godne odnotowania. Godne, ponieważ przeczą obustronnym stereotypom i stereotypom stereotypów.

Nie będzie w tym wiele przesady, jeśli powiemy, że bracia — Polacy uważają braci — Czechów za trochę niemieckich Słowian. Łatwo nawet spotkać etykietkę w rodzaju: „Czesi? Prusacy Słowiańszczyzny". Jest to ocena nie tylko pejoratywna. Mieszają się w niej różne elementy. A więc ma ona oznaczać, że Czesi to porządek, znakomita organizacja, dyscyplina społeczna przechodząca w dryl, wyrachowanie i skąpstwo, mieszczaństwo połączone z pewną ociężałością intelektualną i brakiem gustu, gospodarność itd., itp. Jednego czego Czechom z reguły nie przypisujemy z pruskiego stereotypu — to niemieckiej wojowniczości, zbywając ich pogardliwym słowem: „szwejki".

Tymczasem zaś...

Tymczasem porządek czeski nie tak znów bardzo odbiega od naszego, a i z tą zachwalaną organizacją różnie bywa. Dyscyplina społeczna wyrasta z kultury społecznego współżycia i jest nie pochodna, lecz zaprzeczeniem drylu właściwego tradycjom pruskim. Wyrachowaniu i skąpstwu przeczą: gościnność, skłonność do usług, niesienia pomocy, nie przeczą natomiast wrodzonej gospodarności. To że Czesi — mimo wszystkich obecnych, niebagatelnych, trudności — są lepszymi gospodarzami niż my, zarówno jako zbiorowość, jak i jako jednostki, na to nie trzeba dowodów. Oczywiście, o ile uprzednio wyłączyć problem rolnictwa. Tutaj — nie podejmując dyskusji jako niefachowcy — odwołujemy się jedynie do najprostszej obserwacji pól z okien wagonu przy przekraczaniu polsko-czeskiej granicy. Serce rośnie w piersiach, gdy się patrzy na te małe niczym ogródki uprawne, półka, gdzie każda drobina ziemi została najstaranniej zagospodarowana i wypielęgnowana: to Polska. Ale wracajmy do osądów obyczajowych. Mieszczaństwo. Czechów uważamy za mieszczuchów. No cóż, stare meble w mieszkaniach i stare domy na ulicach bardziej świadczą — po ostatniej wojnie — o realistycznym stosunku do powstań niż o burżuazyjnych nastrojach. Kto zaś ma jakiekolwiek obawy, czy Czesi są ociężali, pozbawieni dowcipu, ciętości, niech idzie do teatru „Na Poreczy" na „Festyn" Wacława Havela. Niech idzie i niech się przekona.

Zostawmy jednak uogólnienia, na które jeszcze zbyt wcześnie i przejdźmy do kilku bardziej charakterystycznych przykładów. Przykładów na „tak" i na „nie".

Porządek, dyscyplina, organizacja.

Mówi się u nas — w Polsce — wiele, ciągle i słusznie o anarchii na drogach i ulicach miast. Tym niemniej trudno w Ojczyźnie znaleźć gdziekolwiek taki bałagan jak na jezdni głównej ulicy Złotej Pragi, czyli na Vaclavske Namesti. Trudno w Czechosłowacji znaleźć tak dobre szosy jak u nas. W hotelach dla gości zagranicznych psuje się nieustannie „vytah" czyli winda, a przekleństwo remanentu i u nich unieruchamia sklepy w porach szczytu.

Cóż to jednak znaczy wobec cierpliwości i odruchowej uprzejmości sprzedawców, kelnerów, konduktorów. Cóż da się porównać z chęcią natychmiastowego służenia pomocą, informacją i radą przez pierwszego napotkanego przechodnia?

Czesi na pewno — lepiej niż my — umieją rachować wydawane pieniądze. Ale ten pożyteczny nawyk kończy się, gdy przyjeżdża gość. Zaczynają się wtedy heroiczne boje o zapłacenie każdej filiżanki kawy, obiadu, biletu, taksówki. Nie jest to nasze tradycjonalne „zastaw się, a postaw się", lecz ich serdeczna ludzka pomoc, drobna przysługa świadczona sąsiadowi, u którego nie wiadomo jak z koronami. Drzwi domów otwierają się gościnnie na oścież, a własny czas zostaje szczodrze oddany do dyspozycji przyjezdnego. Mimo, że jest to kraj bardziej skrupulatnego i rygorystycznego wypełniania obowiązków zawodowych niż nasza piękna, lecz jakże pod tym względem niefrasobliwa, Polska.

Praga czy Bratysława są niewątpliwie bardziej mieszczańskie niż Warszawa. Ale o ile w Pradze jest to przede wszystkim kwestia dawnego budownictwa, to w Bratysławie również sprawa wielkości. Miasto liczy nieco ponad 300 tysięcy mieszkańców. No, a poza tym nie wszystkie miasta stają się nowoczesne w wyniku odbudowy po oblężeniach, bombardowaniach i pożarach — jak to się dzieje u nas. Natomiast, gdyby liczyć stopień unowocześnienia nie metrykami kamienic, a np. rozwojem najprostszych usług świadczonych na rzecz ludności, to możemy schować się pod stół ze wstydu. Wystarczy odwiedzić najmniejszy z praskich barów samoobsługowych. Czystych, dość tanich i znakomicie zaopatrzonych. Wystarczy skorzystać z bardzo starych, małych i odrapanych, lecz jakże często i regularnie kursujących tramwajów. Wystarczy...

Tak, już wystarczy.

Najbardziej jednak nieoczekiwanych konfrontacji dokonywa się rozmawiając z Czechami (no a już szczególnie ze Słowakami) na temat Polski. Można się wtedy dowiedzieć, że u nas właśnie jest najlepsza organizacja, najznakomitsza gospodarka, najsprawniejsza propaganda zagraniczna, handel i świetnie prowadzony eksport. Słowem mówią o nas to właśnie, co my o nich. Takie stwierdzenia z początku miłe łechcą dumę narodową, potem zaczynają nieco żenować. Bo, albo my jesteśmy niepoprawnymi malkontentami, albo wzajemna znajomość obu narodów, wzajemne kontakty i stosunki są ciągle nazbyt oficjalne, watłe i niedostateczne. Nie chodzi tu o sprawy wielkie: politykę, handel, współpracę gospodarczą. To czuje się coraz bardziej. Taksówką marki „Warszawa" jedzie się w Pradze z dworca do hotelu, a czeski teatr, prowadzący szeroką działalność objazdową, ma nowiutką, śliczną „Nysę". Książka polska tłumaczona na czeski, często gęsto leży na wystawie księgarni, film naszej produkcji ściąga tłumy widzów, a polskie sztuki raz po raz mają premiery w czeskich i słowackich teatrach. Jeżeli mowa o zbliżeniu, o potrzebie lepszego poznania się wzajem, to mowa przede wszystkim o kontaktach bezpośrednich, o ludziach.

Z tym nie jest najlepiej.

Zainteresowanie Czechów Polską: krajem, kulturą, ludźmi i stosunkami jest ogromne i spontaniczne. Zainteresowanie Czechosłowacją w Polsce — bez porównania słabsze. Słabsze, jeżeli nie liczyć orbisowych wycieczek, rozbiegających się po Białym Łabędziu (praski Cedet) z obłędem w oku na poszukiwanie zamków błyskawicznych, elastycznych skarpet, stylonowych koszul itp. elementów wymiany handlowej, prowadzonej w ramach prywatnej inicjatywy prywatnych Polaków.

Ktoś może powiedzieć, że Czesi także kupują w Warszawie wódkę, a z całej Polski najbardziej interesuje ich morze. Tak, tylko że jedno i drugie jest swoistym rarytasem. I choć nie sposób budować zbliżenia na wódce, to morze jest już zupełnie czymś innym. Dla narodu pozbawionego „wielkiej wody" Bałtyk jest oceanem i chyba jest nie tylko dobrze, lecz bardzo dobrze, że możemy naszym braciom z południa udostępnić paredziesiąt kampingów na czterystukilometrowym Wybrzeżu. Wody, jodu i polskiego piasku nie zabraknie. Ale i ta sprawa — ciąg nad morze — jest pewnym uproszczeniem. Czechów interesujemy jako całość. Jako kraj. Jako nieco inna, a przecież tak im bliska, kultura.

A my? Czy nas także interesuje kultura Czechów i Słowaków? Czy nie lekceważymy ciągle czeskiego filmu, książki i teatru? Tego filmu, który wszedł do światowej czołówki, zajmując tam nasze niedawne pozycje. Literatury, na którą składają się nie tylko Hasek, Capek, Puimanova i Rzezac. Teatru, który coraz częściej prezentuje śmiałe spektakle śmiałych sztuk...

Wydaje się, że częste snobistyczne oglądanie się na Zachód, gonienie za nowinkami z daleka, papuzie naśladowanie przemijających mód, cały ten ogromny balast kompleksu prowincji europejskiej, moglibyśmy łatwiej zrzucić szukając bezpośredniego zbliżenia z sąsiadem o miedzę. Nie trzeba głęboko sięgać w przeszłość, aby wyciągnąć naukę z naszej wspólnej historii o tym, jak pożyteczna jest prawdziwa i szczera przyjaźń polsko-czechosłowacka. Przyjaźń, dla której układy międzypaństwowe, traktaty i porozumienia są tylko wstępem. Niezbędnym ale i niedostatecznym. Potem muszą podawać sobie po bratersku ręce żywi ludzie. Czesi wyciągają dłonie. Nie pozwólmy im jeszcze czekać. Jest to nie tylko ich sprawa, ale i nasza.

*Rys. Ivan Steiger.*

## KRONIKA Antytelewizyjna

### WIELKIE LANIE i DUNDO MAROJE

Wasz sprawozdawca jest zagorzałym kibicem sportowym i nie przepuści żadnej audycji tego rodzaju. A osobliwie przepada on za piłką nożną. Nic też dziwnego, że pierwszy mecz tegoroczny pomiędzy warszawską Legią i monachijską drużyną „1860" oglądał on z najwyższym... rozczarowaniem. Warszawiacy dostali wielkie lanie i — dobrze im tak. Lanie tym dotkliwsze, że na własnym boisku. Strach pomyśleć, co się będzie dziać, gdy pojadą oni do Monachium na mecz rewanżowy bodaj za dwa tygodnie. Nie od dziś martwimy się wszyscy naszą piłką nożną. Przejściowe sukcesy wcale nas nie uspokajają. Wprost przeciwnie: budzą obawy, że sukcesy rychło miną i zacznie się znowu szary sezon klęsk i niepowodzeń. Gdzie tkwią przyczyny? Co sprawia, że polska piłka nożna nie potrafi wznieść się na poziom europejski? Mecz z drużyną monachijską dowiódł nie po raz pierwszy, że naszym piłkarzom nie dostaje dwu rzeczy: sprawności technicznej i kondycji. Braki techniczne szczególnie ostro stają się widoczne w sytuacjach podbramkowych i to zarówno pod bramką przeciwnika jak i pod własną bramką. Pod bramką przeciwnika kombinacja stu podań i nieumiejętności strzeleckie przynoszą z reguły niewypały. Pod własną bramką dziury i złe krycie przeciwnika daje temu ostatniemu z reguły szansę na strzelenie gola. Nasi są po prostu gorzej wyszkoleni technicznie, grają nieprecyzyjnie, a pod koniec meczu słabną, dając tym większą przewagę przeciwnikowi. I nic tu nie pomoże gadanie o ambicji i woli zwycięstwa. Na nic, ach na nic najlepsza wola, trzeba po prostu umieć strzelić gola!

Mimo iż pasjonuję się meczami sportowymi, muszę wytknąć naszej telewizji pewien grzech: za dużo sprawozdań sportowych, a za mało sprawozdań z Festiwalu Szopenowskiego. Telewizja nadaje sprawozdania z rozgrywek hokejowych, siatkarskich itp., a nie zaspokaja naszego zaciekawienia najważniejszą w tej chwili imprezą muzyczną o charakterze przecież nie tylko polskim, lecz i międzynarodowym. Wieczorne migawki z występów krajowych i zagranicznych uczestników budzą tylko niezaspokojony apetyt. Czy nie można by na okres trwania Konkursu Szopenowskiego zrezygnować, na przykład, z „Relaksu", a czas ten przeznaczyć na dodatkowe sprawozdanie muzyczne z tej wielkiej imprezy? Oczywiście, telewidzowie mają nadzieję, że w drugiej fazie Konkursu doczekają się obszerniejszych sprawozdań. Biada, jeśli telewizja miałaby zawieść nasze oczekiwania. Z imprez teatralnych na czoło tygodnia wysuwa się z pewnością sztuka Marina Drżića „Dundo Maroje". Wasz sprawozdawca widział ten utwór dwukrotnie: raz gdy Belgradzki Teatr Dramatyczny przywiózł go na gościnne występy do Polski, drugi — w wykonaniu tego utworu przez teatr w Sosnowcu na jego własnej scenie pod kierunkiem serbskiego reżysera. Muszę się przyznać, że obydwie realizacje (a zwłaszcza belgradzka) wydają mi się nieskończenie lepsze od tego, co zademonstrował nam w ubiegły piątek Teatr Polski w Poznaniu. Waszemu sprawozdawcy nasuwa się przy tej okazji jeszcze jedna uwaga. Oglądając „Dundo Maroje" uświadomiłem sobie po raz nie wiedzieć który, jak dobrych mamy aktorów w Łodzi. Nie, nie, kochani, nie ma to nic wspólnego z zaślepionym patriotyzmem lokalnym. Ale wystarczy porównać przedstawienie telewizyjne „Drogi" wg. Żeromskiego w wykonaniu naszych aktorów z tym, co dali sympatyczni skądinąd artyści poznańscy, żeby zauważyć do jakiego stopnia różnica ta jest oczywista.

A jednak trzeba „Dundo Maroje" wysunąć na czoło imprez teatralnych minionego tygodnia telewizyjnego. Przede wszystkim ze względu na sam utwór, powstały w epoce renesansu za czasów świetności Republiki Dubrownickiej. W słowie wstępnym, poprzedzającym spektakl telewizyjny, powiedziano, że „Dundo Maroje" nie stracił nic ze swej żywotności i nie trąci myszką. Ależ trąci myszką, trąci, tylko, że w tym przypadku nic to sztuce nie szkodzi. Owa „myszka" dodaje jej uroku. Jest to ten rzadki rodzaj komedii teatralnej, której odbioru nie mącą nam nawet oczywiste naiwności. Są sztuki, których naiwność nas denerwuje. I są takie, które swoją naiwnością bawią i cieszą. „Dundo Maroje" należy do tego drugiego rodzaju. Powiedziałem już, że poznaniacy zagrali „Dundo Maroje" gorzej,

niż artyści belgradzcy i sosnowieccy. Ale to nie znaczy, że zagrali ją poniżej dopuszczalnego poziomu.

Wujaszek Maroje był całkiem dobry, a chwilami wręcz świetny. Inni mężczyźni także. Nie powiodło się natomiast kobietom. Aż mi przykro, bo piszę to akurat w przededniu Święta Kobiet. Zwłaszcza główna rola kobieca Wielkiej Kurtyzany nie udała się, niestety. Przypominam sobie jak świetną kreację stworzyła w tej roli jugosłowiańska aktorka Mira Stupica. Ile wykazała energii, temperamentu, czaru i wdzięku. Nic, albo prawie nic z tych rzeczy nie widziało się w interpretacji tej roli przez poznańską aktorkę.

Sztuka aktorska polega na tym, by nawet w sytuacjach nieprawdziwych zachowywać się prawdziwie. Otóż tego właśnie brakowało niektórym artystom, grającym w „Dundo Maroje". Ale nie martwmy się zbytnio i na zapas. Będzie lepiej.

JACEK WIERZBIŃSKI

## Notatnik KULTURALNY

### PONIEDZIAŁEK

„Freuda teorię snów" Antoniego Cwojdzińskiego oglądaliśmy na ekranie telewizyjnym w wykonaniu Wieńczysława Glińskiego i Barbary Krafftówny. Autor „Teorii Einsteina", „Hipnozy", „Freuda teorii snów" i paru innych nie granych jeszcze u nas komedii „specjalizuje się" w adaptowaniu różnych teorii i hipotez naukowych. Ta inteligentna zabawa dała w rezultacie kilka dowcipnych komedii o charakterze rozrywkowym. Nie ma powodu oburzać się — jak to robią niektórzy Zolle — na spłycanie tematów naukowych przez pisarza. Ważne jest, że publiczność otrzymuje kulturalną rozrywkę, zaś sztuki Cwojdzińskiego zaspokajają częściowo potrzeby repertuaru teatralnego, który poszukuje dobrych utworów komediowych. Na warszawskiej prapremierze przed wojną rolę Jego i Jej grali znakomici aktorzy, Maria Modzelewska i Mariusz Maszyński. Dziś Barbara Krafftówna i Wieńczysław Gliński nie ustępowali pod względem finezji i humoru swym znakomitym poprzednikom.

### WTOREK

Czy wiecie państwo, co to jest aliteratura? Termin ten ukuł Claude Mauriac: „Aliteratura dochodząca u Rimbauda do zamilknięcia, u Mallarmégo do niezapisanej kartki papieru, rozpływa się ostatecznie u Joyce'a. Dla Becketta, przeciwnie, wszystkie słowa mówią to samo. W konsekwencji pisząc byle co, autor ten wyraża najlepiej, co mu leży na sercu..." itd. Jeżeli państwa to zainteresowało, to pospieszcie nabyć „Pamiętnik życia wewnętrznego" Franciszka Mauriaca, który omawia książkę swego syna Claude Mauriaca „Aliteratura współczesna". Ale pospieszcie się! Doprawdy, widziałem ostatnie egzemplarze w witrynach księgarni.

### ŚRODA

W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki pracownicy księgarni i goście kawiarniani musieli marznąć przez cztery dni. Stary przewód kominowy zaczął przepuszczać tlenek węgla, czyli tzw. czad i trzeba było wygasić centralne ogrzewanie. Na szczęście, energiczna administracja nieruchomości w rękach Łódzkiej Księgarni Dzielowej, przeprowadziła w cztery dni remont przewodu, co nie było rzeczą łatwą, gdyż trzeba było „pruć" mury. Zdawało się, że personel księgarni będzie marzł do wiosny. Okazało się jednak, że inicjatywa i energia mogą pokonać trudności. Ta uwaga — pod adresem Przedsiębiorstwa Remontu Dźwigów, które „reperuje" windy całymi tygodniami. Przykład: windy w domach przy ul. Mickiewicza 8 i Narutowicza 8/10.

### CZWARTEK

Polski Związek Esperantystów Oddział w Łodzi przygotowuje się do obchodu 20-lecia istnienia Związku. Sympatyków języka stworzonego przez dra Zamenhofa jest w Łodzi już dość wielu. Przewodnicząca Oddziału — p. Felicja Koprowska, wyraża przekonanie, że liczba esperantystów będzie wzrastała z roku na rok. Na Uniwersytecie Łódzkim lektorat esperanta prowadzi Szymon Weyland. Ponadto w 31 Liceum odbywają się nadprogramowe lekcje tego języka przyszłości, które w następnym roku będą wprowadzone jako przedmiot obowiązkowy. W sierpniu 1965 r. odbędzie się w Tokio kongres międzynarodowy esperantystów, na którymi Teatr Powszechny z Łodzi wystąpi ze sztuką „Kataki" w języku esperanto. Warto dodać, że w Łodzi ożywioną działalność przejawia esperancki klub studentów Signalo, którego członków spotykamy często na gawędach intelektualnych w ZLP na Mickiewicza.

### PIĄTEK

Czym się tłumaczy niebywała frekwencja na filmie Metro Goldwyn Mayer „Królowa Krystyna", wyprodukowanym w 1933 roku, a więc trzydzieści dwa lata temu? Magnesem przyciągającym jest, oczywiście, „boska" Greta Garbo. Ale — również „milieu", dwór królewski, majestat, ceremoniał, przepych. Wszystko to zawsze fascynuje i przyciąga szerokie masy widzów. „Królowa Krystyna" jest, prawdę mówiąc, okropnym melodramatem, ale jednocześnie trzeba przyznać, że trudno się oprzeć urokowi „boskiej Grety", która imponuje w momentach, gdzie występuje jako monarchini, a wzrusza w scenach lirycznych. Ale, uwaga, proszę państwa! Film „Późne popołudnie", który nazwałem antyfilmem, w kinie „Wisła", cieszy się również powodzeniem. To pocieszający objaw, który dobrze świadczy o łódzkiej publiczności filmowej.

### SOBOTA

Koncepcja budowy nowej drukarni dzielowej (książek), która obecnie mieści się przy ul. Piotrkowskiej 86, powstała w 1956 r., gdy stara drukarnia znalazła się wobec groźby zawalenia się stropów. Nowa drukarnia — co tu gadać, będzie to już wielki Pałac Drukowanego Słowa! — powstaje przy zbiegu ulic Rewolucji 1905 r. i Armii Ludowej. Będzie to jedna z najbardziej nowoczesnych inwestycji: beton, stal i szkło. Ogólna kubatura: 62 tysiące metrów sześciennych, co odpowiada trzem tysiącom izb mieszkalnych. Szklane ściany, o których marzył Żeromski, pochodzą z Czechosłowacji. Będą one koloru jasnozielonego i będą dawały piękny efekt wieczorem, gdy gmach będzie oświetlony od wewnątrz. Łódzka Drukarnia Dzielowa produkuje w starych pomieszczeniach około stu tysięcy tytułów rocznie. W nowym pomieszczeniu liczba ta wzrośnie do 130.000. Pałac Drukowanego Słowa otrzymają drukarze oraz ich przyjaciele, czyli pisarze i czytelnicy, w dniu 22 lipca 1965 r. Łódź wzbogaci się więc o nowy wspaniały obiekt. Brawo!

### NIEDZIELA

W Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. Sienkiewicza została otwarta wystawa na 20-lecie Związku Polskich Artystów Plastyków. Wystawa prezentuje prace 69 malarzy, 15 grafików i 4 rzeźbiarzy, dając przegląd bogatej twórczości plastycznej łódzkiego środowiska artystycznego. W krótkiej notatce niepodobna wymienić wszystkich biorących udział w ekspozycji. Kierując się osobistym upodobaniem, zainteresowałem się syntetycznym „Pejzażem ze Szklarskiej Poręby" — Henryka Siedlanowskiego, „Uliczką na Bałutach" Wacława Kondka, „Pejzażami" Mieczysława Saara, II „Kompozycją" o technice mieszanej Lecha Kunki, kubizującymi pejzażami o pięknych barwach Al. Kromera i „Kompozycją" Feliksa Turskiego z rodzaju malarstwa nieprzedstawiającego. Zwraca również uwagę „Katedra w Lucca" K. Mackiewicza i „Martwa natura" B. Liberskiego. Grafikę reprezentują między innymi Romuald Pionka, Janina Pierzgalska i Leszek Rózga. W rzeźbie podobała mi się plastyczna rzeźba ceramiczna A. Starczewskiego i bardzo interesujące „Dwudziestolatki" (ceramika) Antoniego Białasa.

ARYSTARCH

## * PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

**RAY BRADBURY**

— Już?
— Zaraz.
— Kiedy?
— Niedługo.
— Czy uczeni wiedzą o tym na pewno? Czy się nie mylą twierdząc, że to będzie dzisiaj?
— Czekaj, sama zobaczysz!

Dzieci pchały się do okna. Każde chciało zobaczyć ukryte słońce.

Padał deszcz.

Deszcz padał już siedem lat: tysiące dni wypełnionych deszczem, utkanych z deszczu; szum i bębnienie ulewy, kryształowe wodospady gradu, wściekłe huragany, które tysiące razy dewastowały las, a on wyrastał, odradzał się po to, żeby znowu zginąć. Na Wenus było tak zawsze. Wiedzieli o tym uczniowie stojący w klasie przy oknie. Były to dzieci kosmonautów, którzy przylecieli na tę deszczową planetę, aby zagospodarować ją i już pozostać tutaj.

— Przestaje, przestaje!
— Naprawdę!

Margot stała z dala od innych dzieci, które nie pamiętały, nie znały dni bez deszczu, deszczu, deszczu... Najstarsze mogły mieć dziewięć lat i nawet jeżeli siedem lat temu był taki dzień, kiedy słońce wyjrzało na godzinę, by ukazać swoją twarz zdumionemu światu, one tego nie pamiętały. Czasem nocą Margot słyszała jak kręcą się na swoich łóżkach niepokojone dziwnymi snami. Wiedziała, że śni im się złoto, żółty ołówek albo olbrzymia moneta, za którą można kupić cały świat. Wydawało im się, że to ciepło dotyka je, gorąca fala obejmuje twarz i biegnie przez całe ciało. A kiedy budziły się — słyszały jak monotonnie uderza nie kończący się potok przezroczystych paciorków spadających na dach, ścieżkę, lasy. I wtedy marzenia senne znikały.

Wczoraj cały dzień w klasie czytano o słońcu. Jak bardzo jest podobne do cytryny, a jakie gorące! O słońcu dzieci pisały krótkie opowiadania i wiersze.

Wydaje mi się, że słońce
to — kwiat,
Który kwitnie tylko
godzinę.

Tak napisała Margot. Cichym głosem przeczytała w klasie swój wiersz, a tam na dworze wciąż padał deszcz.

— To nie twój wiersz! — krzyknął jeden z chłopców.
— Mój, ja go napisałam — broniła się Margot.
— William! — wtrąciła się nauczycielka.

Tak było wczoraj, a teraz deszcz powoli przestawał padać i dzieci tłoczyły się koło wielkich okien.

— Gdzie jest nasza pani?
— Zaraz przyjdzie.
— Gdzie ona jest? Żeby tego nie przegapić!

Kręciły się jak szprychy w toczącym się kole.

Margot stała samotnie. Szczupła, anemiczna, wyglądała tak, jakby kilka lat trzymano ją na deszczu, a on rozwodnił cały błękit jej oczu, czerwień ust i złoto z włosów pozmywał. Była to już tylko stara wyblakła fotografia z zakurzonego albumu. A kiedy Margot mówiła — co zresztą zdarzało się bardzo rzadko — wydawało się, że jej głos jest głosem z zaświatów. I teraz stojąc z boku uporczywie patrzyła na deszcz, na pełen monotonnego hałasu świat znajdujący się za grubymi szybami.

— Na co tak patrzysz? — spytał William.

Margot milczała.

— Odpowiadaj kiedy pytają?

Popchnął ją, ale ona nie zwracała na to uwagi.

Dzieci unikały Margot, nie chciały na nią patrzeć. Wiedziała o tym. Nie lubiły jej, bo nigdy nie brała udziału w ich zabawach, które zazwyczaj miały miejsce w hałaśliwych tunelach podziemnego miasta. Czasami któryś z chłopców klepnie ją i zaczyna uciekać, a ona tylko stoi i mruga oczyma. Kiedy cała klasa śpiewała o radości, o życiu, o wesołych zabawach — jej usta poruszały się nie wydając żadnego dźwięku. Dopiero piosenka o słońcu ożywiła ją i Margot śpiewała patrząc na padające za oknami deszcze.

Ale największym przestępstwem Margot było, oczywiście to, że przyleciała z Ziemi na Wenus dopiero pięć lat temu, kiedy miała cztery lata i pamiętała słońce, jego złote promienie i błękitne niebo Ohio. Inne dzieci urodziły się tutaj, a siedem lat temu, gdy ostatni raz ukazało się słońce, one tego już nie pamiętały, nie znały ani koloru ani ciepła jego promieni. A Margot wszystko to miała jeszcze w pamięci.

— Wygląda jak pieniążek — powiedziała kiedyś zamknąwszy oczy.
— Nieprawda! — krzyknęły dzieci.
— Ono jest jak ogień w piecu — mówiła.
— Kłamiesz, kłamiesz, ty nic nie pamiętasz!

Ale Margot pamiętała. Cicho odeszła na bok i stojąc przy oknie patrzyła na pokreślone przez strugi szyby.

A miesiąc temu nie chciała wejść pod prysznic w szkolnej łaźni. Oplotła dłońmi głowę i zaczęła krzyczeć ze strachu, bała się spadającej z sykiem wody. Po tym wydarzeniu Margot przekonała się, że jest zupełnie inna niż wszystkie dzieci, a one także o tym wiedziały.

Mówiono, że w przyszłym roku rodzice zabiorą Margot na Ziemię. Nie było innego wyjścia, chociaż taka podróż kosztowała kilka tysięcy dolarów. I właśnie między innymi dlatego dzieci nie lubiły Margot. Nie podobała im się również biała jak śnieg twarz, wyczekujące milczenie, anemiczna postać, a także jej przyszłość.

— Odejdź — chłopiec znowu ją popchnął — na co czekasz?

Dopiero teraz odwróciła się i spojrzała na niego. Jej oczy powiedziały na co ona czeka.

— Słyszysz, nie masz po co tu sterczeć — krzyknął ze złością. — I tak nic nie zobaczysz!

Usta Margot zaczęły drżeć.

— Nie zobaczysz! — krzyczał chłopiec. — To wszystko nieprawda! Dzisiaj słońca nie będzie!

— Dlaczego?... Dlaczego? — mówiła Margot zduszonym głosem, patrząc błagalnie na dzieci. — Przecież dzisiaj... uczeni... oni wiedzą... słońce...

— Kłamstwo! — powiedział chłopiec popychając ją. — Ej, chłopaki, zamkniemy ją w komórce! Szybciej, bo zaraz przyjdzie nauczycielka!

— Nie, nie róbcie tego — wyszeptała Margot i usiadła na podłodze.

Dzieci opadły ją ze wszystkich stron. Margot broniła się, prosiła, płakała, ale one ciągnęły ją przez podziemny korytarz, wrzuciły do komórki i zamknęły za sobą drzwi. Z komórki dochodziły przytłumione krzyki, drzwi drżały od gorączkowych uderzeń jej małych pięści. Dzieci ze śmiechem wybiegły na korytarz i weszły do klasy razem z nauczycielką.

— Siadajcie — powiedziała. — Czy nikogo nie brakuje?
— Nie!

Deszcz powoli przestawał padać.

Dzieci przepychały się w drzwiach.

Deszcz przestał padać.

Wydawało się, że wszystko zamarło dokoła. Ta nieprawdopodobna cisza przytłaczała aż do bólu w uszach. Dzieci chwyciły się rękami za głowy. Stały daleko od siebie. Drzwi cicho zamknęły się za nimi, a one wyczuły oddech oczekującego świata.

Ukazało się słońce.

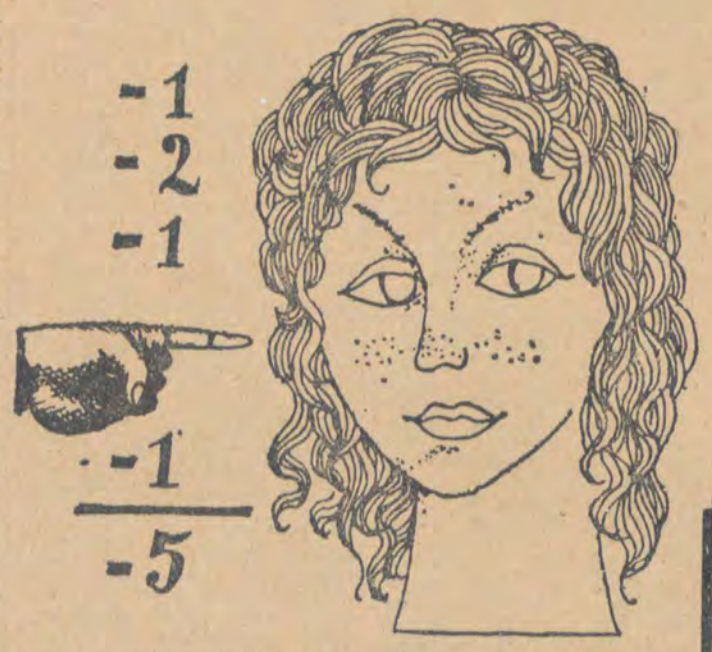


Było bardzo duże i miało kolor płonącego brązu. Otaczało je oślepiające swoim błękitem niebo. Las palił się w płomieniach słońca. Po chwili — jakby z nich opadło zaklęcie — dzieci z radosnym piskiem pobiegły na spotkanie z wiosną.

— Nie odchodźcie za daleko! — krzyknęła nauczycielka. — Pamiętajcie, że macie zaledwie dwie godziny czasu. Potem znowu będzie padał deszcz!

A dzieci biegły z twarzami skierowanymi w stronę nieba, czując na policzkach gorącą pieszczotę słońca. Zdjęły kurtki i wystawiły swoje ręce na ulewę promieni.

— To jest lepsze niż lampy słoneczne, prawda?
— Dużo lepsze!

Wreszcie zatrzymały się w leśnej gęstwinie. Planeta Wenus była pokryta niezwykłym lasem, który teraz rósł, rozwijał się w oczach. Pobudzone wiosną gałęzie pchały się w górę, rozkwitały, wiły się jak ramiona ośmiornicy. Las od wielu lat pozbawiony słońca był koloru gumy i popiołu, kamienia i sera, atramentu i księżyca.

Dzieci, śmiejąc się, leżały na twardym żywym dywanie. Słuchały jak on sapie i bulgocze tam pod nimi. Potem biegały między drzewami, ślizgały się, padały, bawiły się w chowanego. Ale większość z nich długo aż do łez patrzyła na słońce z rękami wyciągniętymi w błękit, w stronę złotego światła, wdychając niezwykle świeże powietrze i chciwie słuchając ciszy. One chciały wszystko zobaczyć, zachować w pamięci. Potem, krzycząc, zaczęły biegać wkoło jak zwierzątka, które wyskoczyły z nory. I biegały tak nieomal godzinę i w żaden sposób nie mogły się zatrzymać.

Nagle...

W samej pełni zachwytu jedna dziewczynka krzyknęła przeraźliwie.

Reszta dzieci zamarła.

A ona stała na leśnej polanie z wyciągniętą ręką.

— Och, patrzcie!...

Dzieci z lękiem podeszły i spojrzały na jej otwartą dłoń.

Na środku dłoni leżała duża błyszcząca kropla.

Wtedy dziewczynka zaczęła płakać.

Dzieci popatrzyły na niebo.

— Oj! Oj!...

Zimne krople zaczęły spadać im na nos, na policzki, do otwartych ust. Mała chmura przesłoniła słońce. Powiał chłodny wiatr.

Wówczas odwróciły się i poszły w stronę podziemnego domu. Ręce bezsilnie zwisały im wzdłuż ciała, znikły uśmiechy.

Zagrzmiało. Dzieci jak liście schwytane przez podmuch wiatru zaczęły biec przepychając się. Niebo przecięły błyskawice, były coraz bliżej: dziesięć kilometrów, pięć, k lometr... Nagle zrobiło się t. ciemno jak o północy.

Na chwilę zatrzymały się w drzwiach. Ale spadła ulewa i musiały zamknąć drzwi. Z zewnątrz dochodziło dudnienie wodnej lawiny, wszechobecnej i nieustającej.

— I znowu trzeba czekać siedem lat.
— Tak, siedem lat.

Ktoś krzyknął:

— Margot!
— Co?
— Ona jest tam, w komórce!
— Margot...

Stały jak przybite gwoździami do podłogi. Spoglądały na siebie, potem pospuszczały głowy. Za oknami znowu padał deszcz. Nie mogły patrzeć sobie w oczy. Ich twarze pobladły i spochmurniały. Patrzyły w dół, na ręce, na nogi...

— Margot...
— I co teraz?

Nikt nie ruszył się z miejsca.

— Chodźmy — powiedziała dziewczynka.

Dzieci wolno szły w stronę korytarza. Zimne bębnienie deszczu, wycie wiatru, grzmoty piorunów, syk niebieskich błyskawic towarzyszyły im nie odstępując na krok.

Zatrzymały się przy drzwiach komórki.

Było zupełnie cicho.

Powoli otworzyły drzwi i wypuściły Margot.

Przełożył:
**ROMAN GORZELSKI**

## SPEKTAKLE tygodnia

FILM

| | | |
|---|---|---|
| WŁÓKNIARZ | „Barwy walki", 36 seansów | 12 475 widzów |
| POLONIA | „Królowa Krystyna", 35 seansów | 10 841 „ |

TEATR

| | | |
|---|---|---|
| NOWY | „Pan Geldhab", 2 spektakle | 1 400 — 100% |
| | „Wicek i Wacek", 3 spektakle | 1 900 — 85% |
| | „Drewniana miska", 2 spektakle | 800 — 65% |
| Mała Sala | „Hiroszima", 1 spektakl | 200 — 100% |
| | „Indyk", 1 spektakl | 200 — 100% |
| JARACZA | „Koncert", 5 spektakli | 3 400 — 100% |
| | „W pustyni i w puszczy", 3 spektakle | 1 700 — 84% |
| | „Kobiety z Niskavouri" | 550 — 82% |
| POWSZECHNY | „Robin Hood", 2 spektakle | 1 176 — 88% |
| | „Ktoś nowy", 2 spektakle | 884 — 66% |
| | „Piosenka prawdę ci powie", 2 spektakle | 1 318 — 98% |
| 7.15 | „Pani prezesowa", 5 spektakli | 1 685 — 76% |
| | „Przygody dzielnego wojaka Szwejka", 2 spektakle | 631 — 72% |
| OPERA | „Legenda Bałtyku", 2 spektakle | 1 422 — 100% |
| OPERETKA | „Czarujący Giulio", 7 spektakli | 6 130 — 78% |
| FILHARMONIA | Koncert symfoniczny — dyryg. Bułgar. M. Mechmedov, 2 koncerty | 850 — 65% |
| ESTRADA | „Zgaduj Zgadula", w Hali Sport. | 7 500 — 90% |
| ESTRADA | Występ „Niebiesko-Czarnych", w Filharmonii | 1 400— 90% |

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

## * PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

## Lewym okiem

### ŁÓDŹ PODWODNA i KORKI Z SERA

*Przykro mi, że nie pamiętam, kto jest autorem fraszki: „Najpierw długo radzą mędrce, potem kleci się naprędce". To dobra fraszka i absolutnie współczesna. Powinno ją się haftować na ręcznikach, tak jak dawniej haftowało się przypomnienie, że „zimna woda zdrowia doda". Takie ręczniki powinny wisieć w toaletach przy każdej sali, w której odbywają się konferencje, żeby każdy z uczestników wiedział, że...*

*Stop, nie dajmy się ponosić wyobraźni. W toaletach nie wiszą przecież ręczniki. Nie ma zresztą przy salach konferencyjnych toalet. A poza tym nie zawsze są sale konferencyjne. Tylko konferencje są zawsze i wszędzie, tyle że coraz częściej nazywane bardziej ludowo i demokratycznie „naradami roboczymi". Narada robocza jest jak wiadomo czymś nierównie lepszym od narady, chociaż nikt nie wie, czym się właściwie różnią.*

*Naradę roboczą zagaja ktoś, kto ją zwołał w sobie wiadomym celu. Często zresztą zwołał ją bez żadnego celu, wcale nie uważa jej za potrzebną, ale działa na polecenie władzy, która wie lepiej; bywa też i tak, że prawdziwym celem jest stworzenie pozoru, że jakaś tam decyzja została podjęta kolektywnie, bądź też uzgodniona ze wszystkimi zainteresowanymi. Zainteresowani przyjeżdżają z daleka i po całonocnej jeździe nie mogą opanować opadającej ich senności. Tu mówi się o konteneryzacji i o normatywie, a tu powieki psiakość spadają a zanim spadną już się coś zaczyna śnić, przewodniczący jedzie ze swym fotelem pod sufit, podłoga ucieka spod krzesła, męka pierońska. Jedyna rada to od razu się zdenerwować. Przerywać każdemu dyskutantowi w pół słowa, przeszkadzać, reagować natychmiast, na każde zdanie osobno, uprzedzać i wyręczać mówcę, kończąc za niego domyślnymi twierdzeniami, niezwłocznie oczywiście rozbitymi na miazgę własną argumentacją.*

*Uczestnicy miejscowi mniej się męczą, mają zresztą rozrywkę w nieustannym odchodzeniu do telefonu. Bieżąca praca przecież nie czeka, narady nie mają wydzielonego czasu, są zawsze, są nie pomocą, lecz złem nieuniknionym w pracy urzędnika. Urzędnik siedzi jak na szpilkach, tam mu się wszystko wali, tam wszyscy wymagają i już, a tu sześćdziesięciu oratorów popisuje się nieznajomością tematu. Z przewodniczącym na czele. Przewodniczący to też urzędnik. Kiedy miał czas poznać tematy? Na szczęście ma trochę wprawy i zorientuje się szybko, że i tak wie więcej od reszty. Jakoś poleci, wszystko ma swój koniec, skończy się narada, przed początkiem następnej wypije się herbatę i może nawet pomyśli o prawdziwych sprawach.*

*Bywają narady-monstra, które się nie kończą. Łódź podwodna w dwudziestej godzinie zanurzenia to jeszcze wiosenny poranek w górach w porównaniu z pomieszczeniem, w którym odbywa się taki maraton. Przestajemy oddychać, bo nie ma czym. Przestajemy widzieć, bo dym. Przestajemy słyszeć cokolwiek oprócz szumu w uszach. Nie przestajemy tylko myśleć, mianowicie myśleć rozpaczliwie o obiedzie, o łóżku, o... o zacisznym, pełnym powietrza kąciku „dla panów". Odważniejsi po prostu wychodzą i całymi godzinami spacerują po korytarzach, wiedząc że nic nie tracą. Mniej odważni, niżsi stopniem, śmiesznie obowiązkowi, siedzą twardo, aż im się spodnie do ciała kleją. Pod wieczór przewodniczący pyta — „Ktoś chyba protokołuje?" — okazuje się, że nikt, ale nie szkodzi, wierny protokół musiałby zawierać dwieście stron bełkotu i zgubioną w nim konkluzję, która dla wszystkich była oczywista już tydzień temu. Pod wieczór uczestnicy nie mogą wstać, ubrania mają zmiętoszone, twarze jak po wyjściu z zasypanej sztolni. Idą na obiad do lokalu z muzyką, bo w zwykłych restauracjach nie ma już dawno nic prócz wódy i korków z sera. Wydają tygodniową pensję, są pijani po dwóch kieliszkach eksportowej, zaczynają opowiadać straszne dowcipy, nie chcą iść spać, bo jeszcze dnia wcale nie było. Po czterdziestce dostają pierwszego zawału i dalsza ich praca staje się po prostu obecnością w biurze.*

*Mówię o bardzo wielu, nie o wszystkich. Nie macie się o co obrażać, to nie o was. Wy będziecie długo jeszcze uczestniczyć w naradach roboczych i z zacięciem genialnych improwizatorów klecić w zwariowanym tempie to, nad czym radzicie permanentnie całe miesiące.*

*CWIEK*

**Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 581.III.65, N-3.**